

„Gdyż wam dla Chrystusa zostało darowane to, że możecie nie tylko w niego wierzyć, ale i dla niego cierpieć” (Flp.1:29)

PRZEŚLADOWANIE CHRZEŚCIJAN W ROSJI

Wspomnienia byłego więźnia Filipa Gawriłowicza Szwerida

Koszalin

Ф.Г.Шверид
"Гонение христиан в России"

Tłumaczenie i skład: Krzysztof Wojnikiewicz.

(Do użytku wewnętrznego)

Cytaty biblijne zaczerpnięto z:

BIBLIA to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu
Nowy Przekład z języków hebrajskiego i greckiego.
Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa – 1984 r.

Prolog

Urodziłem się 18 listopada 1926 roku we wsi Bierestowka we Włodzimirskim rejonie, w okręgu Równno. Rodzina składała się z 12 osób. Żyliśmy bardzo biednie, dlatego mój dziadek po ślubie swojego starszego syna, to jest mojego ojca, nic mu nie dał, szczególnie ziemi. W tym czasie ziemia była dużym majątkiem, a jeżeli rodzina nie miała jej, to żyła w biedzie, była skazana na ubóstwo i głód. Dlatego żyliśmy w ubóstwie. Byłem w rodzinie najodważniejszy i na mnie wypadło chodzenie od domu do domu, wypraszając jałmużnę, żeby wyżywić rodzinę. Po śmierci dziadka mój ojciec ze swoim młodszym bratem podzielili majątek ojca i ziemię tak, że wzięli po równej części. W ten sposób sytuacja ekonomiczna poprawiła się, nasza rodzina zaczęła stawać na nogi.

W tym czasie otrzymałem podstawowe wykształcenie, i w szkole miałem dobre sukcesy, lecz ojciec nie puścił uczyć się dalej z powodu biedy. W życiu każdy człowiek, jakimi drogami by nie szedł, zdobywa swoje miejsce, urządza się, szuka kontaktu z podobnymi sobie. Tak, pijaka najpewniej szukać wśród pijących. Złodzieje, cwaniacy i narkomani też przebywają w swoim środowisku.

Byłem chłopcem z temperamentem i często byłem w konflikcie ze starszymi. Moja chłopięca pobudliwość, moja energia szukała ujścia i ja też znalazłem sobie przystań wśród chłopców-chuliganów, których przywódcą z czasem zostałem. W naszym kodeksie honorowym nie było amoralnym włożenie do cudzego ogrodu, sadu lub spichlerza. Odwrotnie, było to naszym podstawowym zajęciem. Po podobnych wypadach do czysta zmiotaliśmy, co się dało zjeść, i oddalaliśmy się do siebie. Wszystko, co wyprawialiśmy, udawało się: każdy wypad był powodzeniem. I wyrastałem w swojej pysznej samowoli.

Jeszcze nie miałem świadomości wtedy, że do amoralnych czynów popychał mnie sam szatan. Chciał on być moim przewodnikiem w życiu. I moja droga życiowa mogła stać się bardzo tragiczną, i przejść obok Bożej światłości, gdyby Pan nie wyszedł mi na spotkanie i nie okazał łaski w Swojej bezmiernej miłości, kierując mnie po jedynie dobrej drodze.

Chwała Mu!

1. Upamiętanie

„Nie dziw się, że ci powiedziałem: Musicie się na nowo narodzić” (J.3:7).

Jedno najście mojej szajki na obcy ogród skończyło się dla mnie nieprzyjemnie: przeskakując przez płot, zwiczniałem nogę w kostce. Przyjaciele jakoś doprowadzili mnie do domu.

Mama przywitała mnie słowami: „Synku. może następnym razem twoją głowę przyniosą pod pachą?”. Smucąc się, ciągle proponowała mi, abym poszedł na nabożeństwo do domu modlitwy, twierdząc, że tam zbiera się dużo młodzieży.

Dom modlitwy był zupełnie niedaleko od naszego domu: wszystkiego 250 metrów. Mama czasami chodziła na nabożeństwa, chociaż wtedy jeszcze nie była członkiem zboru.

Słuchając matki, zacząłem rozmyślać: „Może pójść za jej radą? Pójść na nabożeństwo, posłuchać, co tam mówią?”.

W następną niedzielę zdecydowałem się i poszedłem do domu modlitwy, siadając blisko, żeby lepiej widzieć, słyszeć mówiących i śpiewających. Rozpierała mnie ciekawość.

Jeden brat zaczął mówić kazanie, wzięwszy miejsce z Pisma – Ewangelia według Jana 3:16-17: „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny”. Słuchając czytane Słowo, zamyśliłem się: „Czyżby Bóg i mnie kochał, takiego zawziętego chuligana?”.

Nagle przede mną zaczęła rozwijać się panorama prawdopodobnej mojej przyszłości, jeśli pozostanę na dotychczasowej drodze, a życie moje będzie upływać w tym samym kierunku. Dorosnę, ożenię się. Żona urodzi dzieci. Biada będzie mojej żonie. Najszybciej będzie ona szukać „piątego kąta”, żyjąc razem ze mną. A dzieci? Prawdopodobnie urodzą się chore psychicznie i będą mnie przeklinać przez całe życie.

Naprawdę, Słowo Boże jest „ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny, przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić zamiary i myśli serca” (Hbr.4:12). Przeżyłem coś nowego w swoim życiu – wewnątrz mnie trwała jakaś walka, przeciwstawianie się dwóch sił. Duch Święty objawiał mi moją grzeszną naturę, grzeszną pustkę. Chciało się krzyczeć: „Panie! Opuść mi, największemu grzesznikowi!”. Czuję, że Jezus stoi obok, wyciąga Swoje przebite ręce i mówi: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie”. Byłem gotowy paść na kolana i prosić o przebaczenie. Lecz zaraz wmieszał się zły i zaczął dyktować swoje: „Poczekaj, powstrzymaj się, przecież masz dopiero 14 lat, jeszcze jesteś taki młody. Trzeba rozkoszować się życiem, brać z niego wszystko, co można, póki jeszcze żyjesz, masz młode siły. A co powiedzą twoi przyjaciele? A do tego w ogóle nie jesteś taki już grzesznik, czy dużo zgrzeszyłeś? Zobacz, jak inni grzeszą, gdzie tobie do nich! Nie rób tego! Zhańbisz siebie, będą śmiać się z ciebie – taki młody i do pobożnych zapisał się...”. Lecz moc skruchy była taka, że powiedziałem: „Odejdź ode mnie, szatanie, idę do Jezusa. On czeka na mnie”. I na jakiś czas utwierdziłem się w swojej zdecydowanej decyzji pojednania się z Bogiem, słuchając innego kazania. Wtedy

zły podszedł z drugiej strony i zaczął nową pieśń: „Bardzo dużo nagrzeszyłeś. Ile razy wlałeś do sadów” Ile razy doprowadzałeś matkę do łez? Ile razy przeciwstawiłeś się dorosłym? Ile razy awanturowałeś się? On ci czegoś takiego nie odpuszczi”. Na pomoc przyszedł Duch Święty. On objawił mi następującą prawdę, przeczytaną w pierwszym kazaniu: „Bo nie posłał Bóg Syna na świat, aby sądził świat, lecz aby świat był przez niego zbawiony” (J.3:17).

Z moich oczu płynęły łzy uniżenia i skruchy, a serce już gotowe było wypełnić się radością, że Pan dziś odpuszcza i przyjmuje mnie do liczby Swoich dzieci.

Po skończeniu nabożeństwa wyszedłem w pokucie i prosiłem zbór o modlitwę za mnie, co też stało się, bo chrześcijanie zawsze gotowi są modlić się o innych. Był to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Nigdy go nie zapomnę – 10 grudnia 1940 roku.

Duch Święty zmienił mojego wewnętrznego człowieka. Miłość Boża wlała się do serca. Obejmowałem swoich nowych braci, których teraz pozyskałem w Chrystusie. Nasze twarze lśniły z radości. Znalazłem najważniejsze, czego potrzebowała moja dusza: wolność od grzechu i pewność zbawienia. Czulem realność nowego życia w Chrystusie, dającą nową społeczność, nowych przyjaciół, nowe serce i nowe sumienie.

Było to narodzenie z Ducha, o którym Chrystus rozmawiał z Nikodemem (J.3:5). Chwała Bogu za Jego cudowny dar życia, który dany jest nie za uczynki, nie za jakieś ludzkie zasługi, żeby nikt nie chwalił się.

Gdy przyszedłem do domu, to objąłem mamę i powiedziałem: „Droga mamusi, stokrotnie proszę cię o wybaczenie. Przebac mi. Nie będę więcej cię zasmucać”. Mama zdziwiła się, nie mogąc zrozumieć, co ze mną się stało. Wyjaśniłem, że na nabożeństwie upamiętałem się i teraz patrzę na wszystko innymi oczami, które dał mi Jezus. Mówiłem, że w sercu moim pojawiło się nowe źródło miłości. Mama, słuchając, płakała z radości i mówiła: „Niech ci Pan pomoże!”.

2. Pierwsze ciernie

„Tak to staną się wrogami człowieka domownicy jego” (Mt.10:36).

Nabożeństwa odbywały się regularnie – pięć razy w tygodniu. Jedno z nich było młodzieżowe. Prócz tego, każdy wieczór, prócz soboty, zbierała się grupa młodzieży, nazywająca się modlitewną.

Studiowaliśmy Słowo Boże, jak stosować je praktycznie w życiu, bo wiedzieliśmy, że młodzieńcy są mocni i pokonują złego przede wszystkim dlatego, gdyż Słowo Boże przebywa w nich (1J.2:14). Oznacza to, że żyć należy tak, jak tego uczy Słowo.

Taka społeczność przynosiła dużo radości, dobrych przeżyć, dawała bodziec do nieprzerwanego wzrostu duchowego. Młodzieńczy wzrost jest taki, że gdy nie trwa się w chrześcijańskiej społeczności, studiowaniu Pisma, to niezauważalnie nastanie słabość duchowa, a wtedy mogą wziąć górę nasze cielesne pożądliwości (2Tm.2:22). „Jako nowonarodzone niemowlęta, zapragnijcie niesfałszowanego duchowego mleka, abyście przez nie wzrastali ku zbawieniu” (1P.2:2). Taką

radę daje apostoł Piotr, żeby nasze życie duchowe nieprzerwanie rozwijało się w Chrystusie.

Czy ciało długo żyje bez jedzenia i picia? A jak długo może wytrzymać dusza, nie karmiona chlebem duchowym, danym przez Boga? Jeśli niemowlęta nie dokarmi się mlekiem matki, będzie ono słabe, jego rozwój się opóźni. Wiedząc to, regularnie chodziłem na nabożeństwa, otrzymując z tego pełne zadowolenie duchowe.

Pewnego razu, gdy szedłem na wieczorne nabożeństwo, spotkali mnie starzy przyjaciele, z którymi chodziłem do cudzych ogrodów. Szydli i grozili. „Co, do pobożnych przyłączył się? Przyjaciół zmienił?”. Zaczęli proponować mi, żebym wrócił, a wszystko wybaczą. W przeciwnym wypadku – okaleczą.

Staralem się wykorzystać ten moment, żeby zaświadczyć o tym, co przeżyłem, że to jest nieporównywalne z niczym. Nawet zacząłem wzywać ich do pozostawienia dotychczasowego zajęcia i upamiętania, naśladować mój przykład. Lecz w odpowiedzi na to zaczęli mnie w najokrutniejszy sposób bić. Ich złość była tak wielka, że tylko z łaski Bożej zostałem uratowany, zostając przy życiu i zdrowiu.

Później, rozmyślając o incydencie, który się wydarzył, znalazłem odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się stało? Człowiek, co sieje, to i żąć będzie. Siejąc zło – zbiera zło, siejąc niesprawiedliwość – niesprawiedliwość otrzymuje, jak to jest opisane w historii Jakuba, który za swoją niesprawiedliwość przez rok się rozliczał. Tak było i ze mną: za zło – otrzymywałem zło.

Nie winiłem o to Boga. Odwrotnie, wiedziałem że „Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu z tymi, którzy Boga miłują” (Rz.8:28). Jeszcze bardziej utwierdziłem się w tym, że jestem na prawdziwej drodze, bo Jezus uczył, iż wszyscy chcący żyć bogobojnie w tym grzesznym świecie, będą prześladowani.

Po naszym nawróceniu do Pana, znajdują się nasi prześladowcy i nie dziwicie się temu. Przecież i Jezusa Chrystusa, Samego Pana prześladowali na tej ziemi. Prześladowcy znajdują się wśród byłych przyjaciół, wśród naszych sąsiadów, wśród naszej rodziny.

Tak musi być, gdy opuszczamy starego pana, to jest złego, któremu służyliśmy, czyniąc bezprawie. Na pewno będzie się mścił. Lecz barometr ciężaru podobnych doświadczeń jest w ręku Bożym. Ustalił On granice wzburzoną falom: „Dotąd dojdiesz, lecz nie dalej” (Job.38:11). Nasze ciało, które wcześniej czyniło bezprawie, przez jakiś czas musi przejść przez oczyszczenie, walkę, próby. Gdyż „żadne karanie nie wydaje się chwilowo przyjemne, lecz bolesne, później jednak wydaje błogi owoc sprawiedliwości” (Hbr.12:11).

My, chrześcijanie, mamy wspaniały środek na zwycięstwo. „A zwycięstwo, które zwyciężyło świat, to wiara nasza”. Opiera się ono na wszechpotędze Boga, który na Golgocie zwyciężył świat i grzech. Stracić wiarę – oznacza stracić zwycięstwo. Zachowaj nas, Panie, od tego!

W domu otaczali mnie: matka, ojciec, bracia i siostry. Odnowienie mojej duszy i radość mojego zbawienia starałem się im wyjaśnić, jak tylko mogłem.

Na czele z moim ojcem, moja rodzina była prawosławna. Ja też w dzieciństwie zostałem ochrzczony w cerkwi. Cała nasza rodzina od czasu do czasu wykonywała cerkiewne obrzędy prawosławne. Czasami chodzili do cerkwi na komunię, stawiali świece, kłaniali się itd. Lecz od tego nikt nie stawał się lepszy. Miało to tylko postać pobożności i nie miało stosunku do stanu duchowego moich rodzi-

ców. Obrzędy nie zmieniają ludzi duchowo, odwrotnie – czynią ich faryzeuszami, religijnymi obłudnikami. Chrystus mówił: „Biada wam faryzeusze...” (Mt.23:13-33).

A w rozmowie z nauczycielem zakonu, Nikodemem, Chrystus mówił o nowym narodzeniu. Ta prawda dla Nikodema była zakryta. Myślał on, że stary człowiek musi narodzić się drugi raz z wnętrza matki. I dziwne jest, że najbardziej wykształcony przedstawiciel swego ludu nie przyjmował tego, co mówił mu Jezus. Dopiero przyjęcie Jezusa wiarą jako swojego osobistego Zbawiciela, czyni nas nowym stworzeniem, nowym człowiekiem. „Stare przeminęło, oto wszystko stało się nowe” (2Kor.5:17).

Staralem się przekazać to wszystko swojej siostrze. Lecz nabijali się ze mnie wszyscy, prócz matki. Pojawiła się w rodzinie „biała wrona”, zobaczymy, co z nim będzie.

Gdy stawałem do modlitwy, popychali mnie, śmiali się, przeszkadzając w społeczności z Bogiem. Wtedy znajdowałem odosobnione miejsce do modlitwy na strychu, w chlewie lub na łonie natury. Otrzymywałem nową moc duchową. Pan napełniał Swoją miłością i spokojnie mogłem już znosić nieprzyjemności i poniżenia.

Starsza siostra była zamężna, a ja podjąłem decyzję, żeby pracować nad zbawieniem jej duszy. Po jakimś czasie zrozumiała, że potrzebne jest jej odrodzenie duchowe. Chcieliśmy też doprowadzić do Pana jej męża. Po długich modlitwach i usilnej pracy, Pan dotknął się i jego serca. Trzeba powiedzieć, że był on bardzo grubiańskim, pijakiem i palaczem. Pewnego pięknego dnia w jego życiu coś się zdarzyło: spalił swoje papierosy, nie pił, nawet udało się dogadać z nim o spotkaniu na nabożeństwie w kolejną niedzielę. I siostra, i jej mąż zgodzili się przyjąć Pana jako swojego Zbawiciela przez osobiste upamiętanie.

Oczywiście, że czekałem niedzieli pełen nadziei. Lecz niestety, moje oczekiwania nie spełniły się – oni nie przyszli. Uwidoczniło się moje niedoświadczenie w sprawie zbawienia i pozyskiwania dusz dla Chrystusa, gdyż zostawiłem ich przez parę dni bez opieki. Ten czas wykorzystał zły – wszedł w ich umysły i zaszkodził im. Znalazł im tyle pracy, tyle trosk w niedzielnym dniu, że o pójściu do zboru i mowy nie mogło być.

Trzeba było krwawej i usilnej pracy. Zrozumiałem, że nie można zostawiać człowieka w pół drogi do krzyża, inaczej trzeba zaczynać pracę znowu. A teraz, żeby ich troski nie stały na przeszkodzie ich nawróceniu do Pana i chodzeniu na nabożeństwa, wziąłem część ich problemów i pracy na siebie. I Słowo Boże mówi, że gdy niewierzący zobaczą wasze dobre czyny, wtedy bez słów zostaną pozyskani dla Pana.

Po dwóch tygodniach moja siostra i jej mąż przyszli na nabożeństwo i przyjęli Jezusa Chrystusa jako osobistego Zbawiciela. Ich dom stał się moim domem modlitwy. A po dwóch latach nawróciła się do Pana cała nasza rodzina, prócz ojca. Triumfowałem w duchu: teraz razem modliliśmy się i śpiewaliśmy. W tym czasie ludzie często nawracali się do Pana. Był to czas przebudzenia naszego zboru.

3. Obietnica

*„I Ja prosić będę Ojca i da wam innego
Pocieszyciela, aby był z wami na wieki”
(J.14:16).*

W 1942 roku zostałem ochrzczony. Było to jedno z najcudowniejszych wydarzeń mojego życia. On chwili mojego nawrócenia do Pana, czytałem Słowo, wnikałem w Pismo. Na jego stronicach widziałem, jak Pan zwraca się do mnie – był to kontakt z Bogiem. I coraz więcej odkrywałem w Biblii obietnic, danych wierzącym w Niego. Oto jedna z nich, na którą zwróciłem szczególną uwagę.

Chrystus powiedział raz do uczniów: „Lepiej dla was, żebym Ja odszedł. Bo jeśli nie odejdę, Pocieszyciel do was nie przyjdzie, jeśli zaś odejdę, pošlę go do was” (J.16:7). Jezus mówi tutaj o Duchu Świętym, który miał być zesłany dla uczniów.

Po zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa nakazał On apostołom, żeby nie odalali się z Jerozolimy, zanim nie zostaną przyobleczeni mocą z wysokości (Dz.1). Uczniowie byli posłuszni Panu i oczekiwali „obietnicy Ojca”, to jest Ducha Świętego, póki nie wykonało się wielkie wydarzenie Pięćdziesiątnicy.

Żeby być świadkami Chrystusa, Jego wysłannikami, apostołami „po krańce ziemi”, musieli mieć szaty świadków, utkane nie przez ludzi, ale dane przez Boga. Pan przyodział ich w moc z wysokości i dopiero wtedy, po jednym tylko kazaniu Piotra i upamiętaniu w imieniu Jezusa, nawróciło się trzy tysiące dusz, jeszcze niedawno krzyżujących Go.

Teraz Piotr nie był już małoduszny w swojej ludzkiej niemocy, wyrzekłszy się Pana, lecz był żołnierzem Chrystusowym, który przyobekł się w moc niszczenia dzieł diabła (Dz.2). Interesujące będzie prześledzenie w kolejności powołania uczniów i ich wysłania do pracy. Jezus wysłał 70 uczniów na służbę, powiedziałszy do nich ważne słowa: „Oto dałem wam moc, abyście deptali po wężach i skorpionach i po wszelkiej potędze nieprzyjacielskiej, a nic wam nie zaszkodzi” (Łk.10:19).

Po powrocie do Jezusa mówią oni, że i demony były im posłuszne, gdy rozkazywali im w imieniu Pana. Wydawałoby się, że to wystarczy. Lecz nie. Po zmartwychwstaniu Chrystus ukazał się uczniom, tchnął i powiedział: „Przyjmijcie Ducha Świętego”. Co to znaczy? Chrystus tchnął w nich ducha życia i otworzył im umysł do zrozumienia Pisma. Czy to wszystko? Nie.

Jezus nakazał uczniom jeszcze czekać na obietnicę od Ojca. Mówił On, że Duch Święty przebywa z apostołami, lecz tym razem będzie On w nich (J.14:16-17).

Przedemną było pytanie: „Panie, ta obietnica jest dla wszystkich dzieci Twoich, czy tylko według szczególnego wyboru? A może, tylko dla apostołów?”. Lecz znalazłem odpowiedź w kazaniu Piotra i księdze proroka Joela. „Obietnica ta bowiem odnosi się do was i do dzieci waszych oraz do wszystkich, którzy są z dala, ilu ich Pan, Bóg nasz, powoła” (Dz.2:29). Odpowiedź na pytanie stała się dla mnie jasna. „Do wszystkich, którzy są z dala” i „do dzieci waszych” – to i do mnie. Lecz powstało inne pytanie: „Jak otrzymać to, co obiecał Ojciec?”.

W Piśmie Świętym opisane są dwie drogi, według których można otrzymać dar Ducha Świętego: według przyjaźni i według uporczywości; droga „według przyjaźni” jest najdoskonalszą. Między proszącymi i dającym istnieje nieprzerwana społeczność miłości, łączności, wzajemnego rozumienia.

Gdy Chrystus przebywa w nas, wtedy ciało martwe jest dla grzechu, a duch żyje dla sprawiedliwości. Wybrałem dla siebie tę drogę wiedząc, że obietnica chrztu Duchem Świętym należy do mnie, a Pan ześle mi ją, kiedy będę do tego gotowy.

Rok 1942. Święto Trójcy. Chrzest wodny przyjmuje 75 dusz. Jeszcze na brzegu przeżywałem szczególną radość, której nigdy nie doświadczałem.

Oto przyszła i moja kolej. Podchodzę do pastora i na pytanie, czy wierzę, że Jezus jest Synem Bożym, czy obiecuję służyć Mu dobrym sumieniem, nie odpowiedziałem. Duch Święty zstąpił, nappełnił mnie Swoją obecnością. Zacząłem modlić się innymi językami, wystawiając Pana w słowach, które Duch Święty dawał.

Ojciec zauważył, że członkowie rodziny głęboko uwierzyli w Boga i zaczął robić wszystko co możliwe, żeby nie puszczać mnie na niedzielne nabożeństwa. Przez tydzień przygotowywał dla mnie tyle pracy na niedzielę, żebym nie mógł na czas wykonać jej i spędzać czasu w zgromadzeniu wierzących. I chociaż prosiłem ojca o zostawienie tej pracy na inne dni tygodnia, bo mogłem wykonać ją w innych dniach, on nie ustępował. Chociaż i czytał Słowo, to wykonywać go nie chciał. Osobiście dla mnie ojciec wyszukiwał szczególne wersety i cytował. Na przykład: „Dzieci! Bądźcie uległe swoim rodzicom”.

W tym czasie odwiedzałem jedną rodzinę wierzącą. I gdy tylko był wolny czas, śpieszyłem do tego domu z nadzieją duchowego wzmocnienia się. Lecz podczas spotkań zwykle byłem rozczarowany. Ta rodzina, składająca się z ojca, matki i trójki dzieci, przeważnie rozmawiała na życiowe tematy: co komu kupić, kto jaką pannę ma wziąć itd. Z powodów takich rozmów moja dusza była smutna i wracałem do domu nie otrzymawszy tego, czego chciałem. I dopiero w samotnej modlitwie otrzymywałem od Pana pocieszenie, zbudowanie, miłość. Duch Święty wstawał się za mną według woli Bożej. Chwała Mu!

Pewnego razu w sąsiednim rejonie miało być nabożeństwo przebudzeniowe i zaproszono tam młodzież z naszego zboru. Poprosiłem mamę o pozwolenie, a ona puściła mnie. Bardzo wcześnie rano wyprawiliśmy się w drogę, a iść trzeba było około 15 kilometrów. Łapcie przewieszane przez ramię, boso po lesie – po szyszkach, korzeniach, sękach i gałęziach. Łapcie włożyliśmy dopiero wtedy, gdy przyszliśmy do wyznaczonego miejsca.

Było to piękne nabożeństwo! Duch Święty działał w cudowny sposób. Przez dar prorocтва zostało powiedziane o przyszłości, że ze wschodu przyjdzie przesładowanie chrześcijan, wielu braci wywiozą daleko. Niektórzy z nich zginą śmiercią męczeńską i dopełnią liczbę zabitych pod ołtarzem (Ob.6:9). Inni umrą śmiercią głodową. W 1944 roku wielu naszych braci zostało rozstrzelanych przez sąd polowy. Później Duch Święty zwrócił się z wezwaniem do wierzących: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, a Ja przyjmę was”. Setki dusz przyjęło wtedy Pana jako swojego Zbawiciela.

Po nabożeństwie szliśmy do domu i nie czuliśmy pod sobą ziemi z powodu duchowego uniesienia i przeżyć. Do domu przyszedłem późno wieczorem. Wchodziłem... Mama płacze zbita. Na podłodze rozbite miski i łyżki, garnki. Ojciec przywi-

tał mnie rozkazującymi słowami: „Odtąd nie jestem ci ojcem, a ty mi synem. Idź na wszystkie cztery strony – nic nie masz u mnie”. Uniżyłem się: „Dobrze, tato! Tak zrobię”. Ścisnęło się gardło. Nic więcej nie mogłem powiedzieć, w czym stałem, w tym wyszedłem. Po tym wydarzeniu nie widziałem się z ojcem 14 lat.

Niełatwo było znieść i przeżyć to wszystko, lecz nie na próżno: „Lecz ci, którzy ufają Panu, nabierają siły, wzbijają się w górę na skrzydłach jak orły, biegną, a nie mdleją, idą, a nie ustają” (Iz.40:31). Naprawdę – tak jest! Gdyby coś podobnego zdarzyło się w moim życiu przed moim nawróceniem, to trudno wyobrazić, co mogło się wtedy stać i jak mogło się to skończyć. Lecz droga chrześcijanina jest wąska i ciernista, a Chrystus był dla mnie przykładem. W najgorszej godzinie modlił się On o prześladowców: „Ojcze! Odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”. A w kazaniu na górze Chrystus nauczał: „Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował bliźniego swego, a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela swego. A Ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjaciół waszych i módlcie się za tych, którzy was prześladują, abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebie, bo słońce jego wschodzi nad złymi i dobrymi i deszcz pada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt.5:43-45). To jest zakon Ducha, a żyć według zakonu Ducha można dopiero wtedy, gdy jest On obecny.

4. Chaos polityczny

*„Potem usłyszycie o wojnach i wieści wojenne.
Baczcie, abyście się nie trwożyli, bo musi się to stać”
(Mt.24:6).*

Wojna... Wojska hitlerowskie idą na Moskwę. W tym czasie w naszej okolicy, na tyłach, było pięć grup politycznych: Niemcy, Rosjanie, partyzanci pod wodzą Kowpaka, Polacy. Żydzi i ukraińscy nacjonaliści, tak zwani banderowcy. W okręgu i przylegających do niego rejonach panowali niemieccy okupanci. W poszczególnych rejonach rządzili banderowcy, w niektórych wsiach i lasach – Polacy, Żydzi i rosyjscy partyzanci.

Po wojnie opublikowano książkę o czynach Kowpaka pod tytułem: „Ludzie z czystym sumieniem”. W tej książce opowiada się, jak bojownicy-kowpakowcy troszczyli się o ludność, pomagali obrabiać ziemię, chronili przed niemieckimi najeźdźcami i tym podobne.

Oddział Kowpaka znajdował się w pińskich lasach. Przez naszą wieś oddział przejeżdżał, żeby zaminowywać tory kolejowe. Wracając z powrotem, grabili wszystko, co mogli unieść. Dowódca oddziału nigdy nie pytał gospodarza, co ma później robić. Jego bojownicy byli dobrze wytresowani, żeby operatywnie robić wszystko, co uważali za słuszne.

Wrzesień 1943 roku. Wieczór. Zaczęło świtać. Paru żołnierzy wyższym stopniem i jedna podwoda, wjechali na nasze podwórko. Po paru minutach na podwórku rozległ się wystrzał, na głos którego wybiegła moja starsza siostra. Okazało się, że partyzanci zastrzelili ostatnią maciorę i już zabierali się, żeby załadować ją na podwodę. Niedawno zabrali już od nas dwa prosiaki, teraz przyjechali

po resztę. Siostra nie wytrzymała i krzyknęła: „Co robicie, bandyci? Zastrzelili ostatnią świnię”. W odpowiedzi na to jeden z nieproszonych gości zdjął automat z ramienia i skierował w nią, żeby i ją zastrzelić. Wtedy zasłoniłem siostrę plecami, zacząłem błagać go: „Na Boga, zlitujcie się. Co za pożytek z głupiej kobiety? Bierzcie świnię, na zdrowie. Jakoś obejdziemy się”. A w rodzinie osiem osób! W duszy modliłem się: „Panie! Zmiękcż serce jego, żeby nas nie zastrzelił”. I Bóg uratował nas.

Skąd wiem, że byli to rosyjscy żołnierze? Gdyż na moją prośbę, żeby zmiłowali się w imieniu Pana, usłyszałem w odpowiedzi wiązankę i bluźniące słowa na Boga. Tak mogli postępować tylko ludzie z bolszewickim wychowaniem. Inni bojownicy z tej samej drużyny zrobili pochodnię, zniszczyli pszczoły, zabrali miód i spustoszyli wszystkie ule. Jabłek u sąsiada nie zrywali z jabłoni, ale obłamali gałęzie i już na ziemi obrali jabłka. Kto nie wytrzymał i wdawał się w rozmowę z krzywdzicielem, ten miał kulę w głowę.

Powtórzę. Książka, o której przypominałem, nazywała się: „Ludzie z czystym sumieniem”.

Ludność naszego okręgu była różnej narodowości: Ukraińcy, Polacy, Czesi, Żydzi. Nastął czas, gdy ukraińscy nacjonałiści w formie ultimatum powiedzieli Polakom, żeby zabierali się z ziemi za rzekę Bug. Polacy z kolei zaczęli budować schrony, zamierzając się bronić, a nie odchodzić. Zaczęła się międzynarodowa rzeź. Ukraińcy napadali na polskie wioski, zabijając i paląc ich domy. Polacy odpowiadali tym samym. nikt w nocy nie mógł spokojnie spać – wszyscy bronili siebie i niszczyli innych. Tysiące ludzi padło w tych dniach: ludzkie życie wtedy było bardzo tanie.

Przez długi czas w naszym rejonie utrzymywała się władza banderowców. Młodzież powoływano do wojska, żeby zdobyć niezależność Ukrainy. Dla mnie też przysłał wezwanie, żeby stawić się, lecz kategorycznie odmówiłem. Wtedy wysłali drugie, z groźbą: „Jeżeli nie będziesz o wskazanym czasie, to dla ciebie i kuli szkoda, ale sznur na pętlę – znajdziemy!”. Lecz i wtedy odmówiłem. Dobrze wiedziałem, co mnie czeka. W jednym z sąsiednich zborów niektórych braci zabrali do poboru, lecz odmówili oni wykonania rozkazów i zostali zamęczeni: jednym wykręcono ręce, innym obcięto język, wyłupiono oczy, obcięto uszy. Był to prawdziwy pogrom. To samo mogło czekać i mnie.

W jedną z niedziel odbywało się nabożeństwo. W tym czasie podjechał samochód z grupą uzbrojonych ludzi. Był z nimi pop w ornacie, który dużym krzyżem błogosławił ich na udaną operację. Otoczyli dom, na drodze ustawili karabiny maszynowe, w drzwiach domu modlitewnego stanęło dwóch z automatami i zabrziała mowa w języku ukraińskim: „Wychodź!”.

Zacząłem się modlić: „Panie! Mam 17 lat, nic jeszcze dla Ciebie nie zrobiłem. Uratuj mnie!”. Zerwawszy się z miejsca, przeskoczyłem obok tych, co mieli automaty, a potem galopem pobiegłem do ogrodu, przeskoczywszy płot. Wydawało się, że moje skoki miały po parę metrów. Serię z automatu puścili do mnie już z odległości dziesięciu metrów. Kule gwizdały nad głową. Lecz Pan zachował mnie i wtedy. Chwała Mu! Alleluja!

Wiosną 1942 roku niemieckie władze wydały rozkaz, żeby wszyscy Żydzi przybyli do centrum rejonu. Na wykonanie tego nakazu wyznaczono pięć dni. Przez ten czas buldożery wykopały duży dół dla rozstrzelanych. W wyznaczonym

dniu Żydzi zostali zegnani na przygotowane dla nich miejsce. Byli to mężczyźni, kobiety i dzieci. Nie można opisać, jaki płacz był w koło!

W tym czasie na podium stanął rabin i zwracając się do ludu, powiedział: „Nie płaczcie, nikt z nas nie jest winny tego, co dziś dzieje się z nami. Gdy Piłat chciał usprawiedliwić Jezusa i mówił, że nie jest winny krwi tego sprawiedliwego, nasi ojcowie krzyczeli, że krew Jego na nich i ich dzieci. Dlatego wcześniej lub później musimy przelać krew. Taki jest zakon: „Co posiejesz, to i żeńniesz”. Później poprowadzili ich na rozstrzelanie. Lecz niektórzy Żydzi nie ulegli nakazowi pójścia na miejsce masowej kaźni, lecz uciekli do lasu. Wtedy wyszedł drugi rozkaz, zgodnie z którym za schwytanie Żyda i oddanie wyznaczono dużą nagrodę pieniężną. I odwrotnie, dla tych, którzy dadzą schronienie lub nakarmią Żyda, groził najwyższy wymiar kary.

Pewnego razu cała grupa Żydów przysłała do wsi, żeby prosić o chleb. Znaleźliby się dobrzy ludzie, lecz wszyscy bali się donosu, dlatego gości po prostu wyprowadzono ze wsi. Za to głodni uciekinierzy w jedną noc podpaliłi wioskę. Wtedy spaliło się około 22 gospodarstw.

Charakterystyczne dla tego czasu było i to, że grupy wojskowe, które działały w nocy, wprowadzały ludność w błąd, przebierając się w mundury swoich wrogów. Ludzie, nie wiedząc i nie podejrzewając żadnego podstępu, sami na siebie gadali. W każdą noc odbywały się rozprawy z niewinnymi ludźmi – rozstrzeliwali, wieszali... Wokół ludzi, pragnących pokojowo i spokojnie żyć, tworzył się prawdziwy chaos.

5. Pod kierownictwem Ducha Świętego

„Bo ci, których Duch Boży prowadzi, są dziećmi Bożymi” (Rz.8:14).

Sytuacja polityczna dezorientowała wielu, w tej liczbie i mnie oraz moich braci. Ciężko było zorientować się w tym, co się działo, i to zwarło nas w jedności ducha i pokoju.

Nikt nie szukał swoich własnych korzyści, lecz wszyscy byli gorliwi w tym: jak rozpoznać wolę Bożą w danej chwili.

W Piśmie jest powiedziane: „Dążcie do miłości, starajcie się też usilnie o dary duchowe, a najbardziej o to, aby prorokować” (1Kor.14:1). Nasza młodzież zdecydowanie postanowiła, żeby każdy wieczór spędzać w społeczności na modlitwie i błaganiu, aby osiągnąć upragnione prowadzenie Ducha Świętego. Lecz po jakimś czasie część młodzieży odeszła od tego, uważając takie nabożeństwo za zbyt uciążliwe. Zaś niektórzy młodzi bracia zaczęli zachwycać się „prezentami” wojny, to jest granatami, nabojami i innymi śmiertcionośnymi przedmiotami, które wtedy bardzo łatwo można było znaleźć. Lecz ta droga nie okazała się błogosławioną. Pewnego razu z powodu nieszczęśliwego wypadku dwom braciom wypaliło oczy i zostali niewidomymi na całe życie.

Apostoł Paweł w Liście do Rzymian pisze: „Wzywam was tedy, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście składali ciała swoje jako ofiarę żywą, świętą, miłą Bogu, bo taką winna być duchowa służba wasza. A nie upodabniajcie się do tego

świata, ale się przemieńcie przez odnowienie umysłu swego, abyście umieli rozróżnić, co jest wolą Bożą, co jest dobre, miłe i doskonałe” (Rz.12:1-2).

Bez stuprocentowego oddania siebie w służbę Bogu, nasza służba będzie nierozumną. Życie rodzinne i społeczne nie może być pełnowartościowe. I nie można winić kogokolwiek o to, że twoje życie nie należy całkowicie do Pana. A jeżeli ktoś chce być prowadzony przez Ducha Świętego, być przydatnym naczyniem, gotowym do użycia przez Niego, powinien całkowicie oddać siebie w Jego ręce.

Tak więc, staraliśmy się o prowadzenie Boże. Pan, widząc szczere pragnienie pozyskania Go i złożoną sytuację wokół nas, nie dał długo czekać i dał jednemu z braci dar prorocstwa, a siostrze, dar tłumaczenia języków.

Do tego czasu zostaliśmy ochrzczeni Duchem Świętym, a chrztowi Duchem Świętym towarzyszy znak: mówienie innymi językami. Jest to biblijny porządek, którego człowiek nie może zmienić. Tak było w Jerozolimie podczas wylania Ducha Świętego na apostołów. Tak było w Efezie i w domu Korneliusza. Gdy zstąpił Duch Święty, oni modlili się innymi językami i prorokowali (Dz.2,10,19 r.). Jezus powiedział do Swoich uczniów: „Lecz gdy przyjdzie On, Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę, bo nie sam od siebie mówić będzie, lecz cokolwiek usłyszycie, mówić będzie, i to, co ma przyjść, wam oznajmi” (J.16:13).

Niektórzy i dziś mówią o tym, że w naszych czasach nie jest potrzebny dar mówienia innymi językami, że jest to coś minionego i tym samym przeczy same-mu Słowu Bożemu, chociaż twierdzą, że wierzą w Niego.

To samo mówią też o darze prorocstwa, lecz jest to tym samym, gdybym powiedział, że chcę jeść, ale chleb nie jest mi potrzebny. Celem prorocstwa jest, aby ujawnić widzenie Boże na teraźniejszość i przyszłość. W Liście do Koryntian apostoł Paweł pisze: „Lecz jeśli wszyscy prorokują, a wejdzie jakiś niewierzący albo zwykły wierny, wszyscy go badają, wszyscy go osądzają, skrytości serca jego wychodzą na jaw i wtedy upadłszy na twarz, odda pokłon Bogu i wyzna: Prawdziwie Bóg jest pośród was” (1Kor.14:24-25).

I tak, Duch Święty przejął kierownictwo nad nami przez dar prorocstwa. Wtedy usłyszeliśmy od Pana: „Tak mówi Duch Święty! Słuchajcie, dzieci Moje, ufajcie Mi, a Ja was zachowam. Jutro wieczorem nadlecą samoloty i będą bombardować. Nie bójcie się. Ja wszystkich was zachowam. Będą trupy, lecz nie z Mojego ludu”.

Następnego dnia z młodszym bratem poszliśmy na wieczorne nabożeństwo. Lecz, zanim doszliśmy do domu modlitwy, usłyszeliśmy warkot samolotów. Leciały one na bardzo niskiej wysokości, prawie nad nami. W pewnej chwili usłyszałem gwizd lecącego pocisku i zdążywszy tylko krzyknąć: „Padnij!”, rzuciliśmy się na ziemię. Bomba rozerwała się 10-15 metrów od nas, odłamki zaświszczały nad naszymi głowami, lecz nie zrobiły nam wcale krzywdy. Chwała Bogu!

Jak zostało powiedziane, po tym bombardowaniu byli zabici, lecz nikt z dzieci Bożych nie ucierpiał.

Kiedyś w niedzielę bracia i siostry zebrali się na nabożeństwie w pewnym chutorze z dala od tych, którzy nam często przeszkadzali w nabożeństwach w domu modlitwy: chutor znajdował się dwa kilometry od wsi. Była to wspiana społeczność! Lecz bardzo szybko któryś z braci zauważył przez okno grupę uzbrojonych ludzi w płaszczach, którzy poruszali się w kierunku naszego domu.

Zaniepokoiwszy się, zgięliśmy kolana w modlitwie i wołaliśmy: „Panie! Co mamy robić? Jak mamy postąpić?”. I słyszymy radę Bożą: „Dzieci Moje! Nie bójcie się! Ja wszystkich was zachowam. Idą do was banderowcy, przebrani w mundury rosyjskich żołnierzy. Postępować będą bardzo surowo, lecz nie bójcie się. Ja zmiękczę ich serca. Trzech braci wezmą i poprowadzą do sztabu, pozostali pozostaną tutaj. W krótkim czasie wypuszczą i wszyscy uwielbicie Mnie, Pana. Tak mówi Duch Święty. Nie wątpcie”.

Podczas naszej modlitwy grupa uzbrojonych ludzi podeszła do naszego domu. Lecz dwóch braci, nie zważając na to, co mówili do nas Duch Święty, będąc w strachu, przez tylne drzwi ratowało się ucieczką. Uzbrojeni ludzie zauważyli to i otworzyli ogień za uciekinierami. Dzięki krzakom i błotu udało się naszym braciom ukryć się przed prześladowcami.

Rozłoszczeni z powodu nieudanej pogoni, żołnierze wdarli się do domu i zaczęli bezwzględnie obchodzić się z nami. Wszystkich nas spędzili do jednego kąta i pod lufami karabinów przeprowadzili szczegółową rewizję. Nic nie znaleźli, zaczęli przesłuchiwać. Interesowało ich: czy nie ukrywaliśmy banderowców. Wewnętrznie cieszyliśmy się, pamiętając co mówił nam Bóg i wiedząc, co kryje się za tymi pytaniami. Jak jest cudownie mieć prowadzenie Ducha Świętego.

Po jakimś czasie uzbrojeni ludzie, dziwiąc się naszemu spokojowi, zaczęli obchodzić się z nami łagodniej. Naprawdę, „choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę, boś Ty ze mną, laska twoja i kij twój mnie pocieszają” (Ps.23).

Zaproponowałem zaśpiewać pieśń „Jezus w naszym sercu. On tylko jeden. Wspomniał Nauczyciel – jesteśmy szczęśliwi z Nim”. A gospodyni w tym czasie szepnęła, żeby szybko szykowała śniadanie dla gości.

Po dziesięciu minutach duża patelnia z sadzonymi jajkami była na stole. Na propozycję gospodyni, żeby siedli przy stole, wszyscy żołnierze na czele z dowódcą odłożyli automaty na bok i z dużym apetytem zaczęli jeść. My zaś z radości śpiewaliśmy, a później modliliśmy się.

Tak, Pan odkręca burzę i zmienia ją w cudowną ciszę!

Potem trzech braci poprowadzili do sztabu, który był w budynku szkoły. Ku memu zdziwieniu, w sztabie wśród dowódców znowu spotkaliśmy popa w ornatcie z krzyżem. Lecz na nas nie zwracali uwagi, nikt o nic nie pytał i ten, który przyprowadził nas, w końcu machnął ręką i powiedział, żebyśmy szli, gdzie chcemy. Wolno wróciliśmy do chutoru i w modlitwie zaczęliśmy wielbić oraz dziękować Bogu za Jego cudowne dzieła.

Z Panem w każdej sytuacji wychodziliśmy jako zwycięzcy. „A których przeznaczył, tych i powołał, a których powołał, tych i usprawiedliwił, a których usprawiedliwił, tych i uwielbił. Cóż tedy na to powiemy? Jeśli Bóg za nami, któż przeciwko nam? On, który nawet własnego Syna nie oszczędził, ale go za nas wszystkich wydał, jakżeby nie miał z nim darować nam wszystkiego?” (Rz.8:30-31).

Wszyscy przeżywaliśmy z powodu naszych dwóch braci, którzy uciekli i być może znajdowali się w zimnej wodzie. Dopiero wieczorem, gdy ściemniało, odważyli się wrócić. Mokrzy do pasa, na twarzach wstyd, w duszy przeżycia, w oczach łzy z powodu tego, co się stało. Lecz nic już nie cofniesz. Bez wiary nie można podobać się Bogu.

6. Ustanowienie władzy radzieckiej

„Ponieważ wyroku skazującego za zły czyn nie wykonuje się szybko, przeto wzrasta u synów ludzkich chęć pełnienia złego” (Kzn.8:12).

Armia Czerwona przyszła na naszą ziemię latem 1939 roku. Przy wjeździe do wsi na główną drogę wyniesiono stoły z kwiatami, solą i chlebem. Mieszkańcy wsi obejmowali dowódców i żołnierzy, całowali jeden drugiego, krzyčili: „Ura! Ura! Niech żyje ludowowyzwoleńcza armia! Niech żyje Stalin! Ziemię – chłopom! Ziemia i władza – nasze!”. Śpiewali, tańczyli. Nigdy nie zapomnę tego wydarzenia historycznego. Później zaczęło się ustanawianie władzy radzieckiej: miejscowych władz, wiejskich rad itd. Zaczęto dzielić społeczeństwo na dwie klasy – bogatych i biednych.

Kim zaś były kułacy i kogo zaczęto zaliczać do tej klasy ludzi? Przede wszystkim były to te rodziny, które zgodnie pracowały nie zakładając rąk, zapracowując i pozyskując wszystko najpotrzebniejsze dla siebie. Byli to ci ludzie, którzy dobrze wiedzieli: kiedy, w jakich okolicznościach i co należy siać, żeby był dobry urodzaj.

Przypominam, kiedy wczesną wiosną, gdy było błoto i padał mokry śnieg, ojciec kazał mi zaprzęgać konie i jechać orać oraz siać owies. Wtedy się dziwiłem: czy można cokolwiek robić w polu w taką pogodę? Lecz ojciec odpowiedział: „Jeśli owies posieje się w suchą pogodę, to on nie wyrośnie. Owies należy siać w błoto, wtedy wyrośnie jak książkę”.

Byli to ludzie mądrzy, zapobiegliwi, lubiący pracę jak mrówki, które stawiał za przykład król Salomon. „Idź do mrówki, leniwcze, przypatrz się jej postępowaniu, abyś zmadrzał. Nie ma ona wodza ani nadzorcy, ani władcy, a jednak w lecie przygotowuje swój pokarm, w żniwa zgromadza swoją żywność. Leniwcze! Jak długo będziesz leżał, kiedy podniesiesz się ze snu? Jeszcze trochę pospać, trochę podrzemać, jeszcze trochę założyć ręce, aby odpocząć. Tak zaskoczy cię ubóstwo jak zbójca i niedostatek, jak mąż zbrojny” (Prz.6:6-11).

Kogo zaś władza radziecka zaliczała do biednych i uciśnionych? W większości byli to ludzie, którzy latem woleli bawić się, odpoczywać na łonie przyrody w cieniu drzewa, a zimą zaczynali prosić od tych, którzy latem usilnie pracowali. To o nich mówi się w znanej bajce Kryłowa „Świerszcz i mrówki”.

Obok naszego domu mieszkali dwaj sąsiedzi. Jeden biedny, drugi średnio zaможny. Ten, który pracował więcej, przygotowywał drewno na całą zimę, ten też lepiej żył. Drugi zaś przywiózł drewna parę szczap i odpoczywał. Lecz kiedy przyszła zima, mróz zaczął pukać do domu leniwego, a on zaczął wypraszać u sąsiadów: daj, no daj trochę drewna. Pierwszy raz gospodarz nie odmówił. Lecz zobaczywszy, do czego to prowadzi, zaczął odmawiać. A polan pomimo to ubywało. Było jasne, że sąsiad kradnie nocą. Uwagi i ostrzeżenia nie pomagały. Wtedy gospodarz zdecydował się przyłapać złodzieja i pewnego razu włożył nabój w polano. To polano później znalazło się w piecu biednego. Nastąpił wybuch, rozwaliło piec, wyleciały okna. Na szczęście nikt nie ucierpiał!

Podczas ustanawiania władzy radzieckiej biedakom dano „zielone światło”. Zaczęto ich wszędzie wybierać do miejscowych władz, do rad rejonów i wsi. Starali się – robili miłyngi i zebrania. A wszystkie hasła wyrokowały: „Ziemia i władza

– nasze!”, „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”. Zaczęło się narodowe szcucie. Biedni występowali jawnie. „Skończyć z bogatymi! Wy pożyliście, a teraz my pożyjemy na wasze konto!”. Zaczęła się wrogość między ludźmi, rozkułaczanie, fałszywe donosy, aresztowania, sądy, zsyłki. W okręgu pojawiły się szczególne narady. Nazywano je „trójkami”. „Trójka” była robiona przez wyższe władze. Bez śledztwa i sądu podejmowano tam decyzje, mające wpływ na los wielu ludzi: dla kogoś wyrok w obozach, dla kogoś zsyłka itd.

A wiosną 1940 roku przystapiono do kolektywizacji. Bogatym zabierano ziemię i oddawano w ręce biednych. Ci zaś z kolei, nie przyzwyczajeni do pracy, zaczęli odmawiać. W czerwcu przyjechała z rejonu komisja, zmierzyła wszystkie zasiewy, kto ile zasiał. W sierpniu przysłali rezolucję, żeby zapłacić państwu za wszystkie zasiane uprawy: pszenicę, owies, kukurydzę, ziemniaki, buraki, marchew, kapustę, cebulę, czosnek itd. Chłopom zabrano wszystko do rejonu w ramach obowiązkowych dostaw, chociaż niektórzy nie mieli nawet na przyszły zasiew. A po miesiącu zażądano drugiej dostawy, która półtora razy przewyższała pierwszą. Oczywiście chłopci nic nie powiedzieli, bo nic nie mieli.

Wkrótce z rejonu przyjechała grupa karna, składająca się z uzbrojonych żołnierzy. Chodzili od domu do domu, wygrzebując wszystko do ostatniego ziarna. Ludzie chowali, co mogli. Wszystkie młyny zostały oplombowane. W rejonie pracował tylko jeden. Zmleć ziarno mógł tylko ten, kto okazał pokwitowanie za dostawy obowiązkowe.

Wtedy wieśniacy zaczęli robić swoje żarna. A głuchą nocą ludzie kradli jeden od drugiego to, co udało się ukryć przed władzą. Zaczęły się donosy jednego na drugiego do milicji – i znowu aresztowania, sądy, karne konsekwencje...

Wśród sąsiadów kwitła wrogość. Awantury odbywały się z taką złością, że czasami były zabójstwa. W następnym etapie kontyngentów zaczęli zabierać konie i duże bydło rogate. Przyszła kolej i na biednych. I oni byli pozbawiani koni i ostatniej krowy. Tak że radość pierwszych dni władzy radzieckiej szybko zgasła. Mityngi się skończyły, na zebrania nikt nie chodził. Ci, którzy krzyczeli na cały głos, że ziemia i władza nasza, przycichli, widocznie rozumiejąc, w jakim kierunku idzie sprawa.

Jesienią 1940 roku żyta nie siali z powodu braku ziarna. Wiosną 1941 roku nie siali zbóż jarych, ziemia została zaniedbana. Wtedy kierownictwo okręgu i rejonu zaczęło tworzyć kolchoz. Pod każdym pretekstem, obiecując i grożąc zmuszano wszystkich do wstąpienia do kolchozu. Zaś przeciwnicy kolchozu mścili się na tych, którzy pierwsi zapisywali się do niego: nocą podpalali ich obejścia.

Mój ojciec zapisał się do kolchozu jako trzeci, a w trzecią noc z domu pozostała kupa popiołu. W sercach domowników była żaloba. Trudno było wtedy się zorientować. Wszyscy winili jeden drugiego. I wielu nie rozumiało prostej prawdy, że główną przyczyną tego wszystkiego, zniszczenia, chaosu – była bezbożność i ateizm.

W ogrodzie Getsemane, gdy przyszli po Jezusa, żeby zaprowadzić Go na cierpienia, nazwał On tych, którzy przyszli, „synami nocy” i „władzą ciemności”. A co to jest ciemność? To brak światła. Kto chodzi nocą? Grabieżcy, zmawiający się jeden przeciwko drugiemu, złodzieje, zbójce...

Dlatego nie było nic dziwnego w tym, że okolica doszła do moralnego i ekonomicznego końca – przecież rządziły nami „władze ciemności”. W konsekwencji

tych nieporządków nastąpił masowy głód. Pojawiły się różnego rodzaju choroby.

Przed przyjściem władzy radzieckiej nie zamykano domów, lecz z jej przyjęciem zaczęło rozwijać się złodziejstwo, każdy troszczył się o to, żeby zrobić jak najmocniejsze ogrodzenie.

Latem 1941 roku na naszą ziemię przysły wojska niemieckie i od razu przystąpiły do spisu ludności. Na każdą osobę zaczęto wydawać po bochenku chleba, szybko zaprowadzono porządek z nocnymi złodziejami.

Przypominam taki przypadek. Niemiecki żołnierz ukradł od gospodarza jedną gęś. Gospodarz poskarżył się w dowództwie. Bardzo szybko znaleźli tego żołnierza. Postawili oddział, mieszkańców poprosili, żeby wyszli na drogę. Zaś gęś... uwiesili mu na szyi. Poprowadzili go w głąb wsi, bijąc gumową pyłą po plecach. Obiecali, że tak postąpią z każdym, kto będzie kradł.

Chłopom zwrócili tę ziemię, którą odebrały Rady. Niemcy szanowali osobistą własność, dlatego chętnie pomagali w jej odzyskaniu. Jeżeli w rodzinie było pięciu zdolnych do pracy młodych ludzi, wtedy Niemcy powoływali jednego do pracy na tyłach w fabryce lub gospodarstwie rolnym. Moją starszą siostrę za zgodą matki wywieźli do Niemiec, gdzie pracowała w gospodarstwie. Życie pomału zaczęło się polepszać, dlatego każdy zaczął pracować na siebie, a nie ryzykować w cudzej piwnicy.

Późną jesienią 1943 roku wojska radzieckie powtórnie przysły na naszą ziemię i wszystko zaczęło się znowu: aresztowania, rozkułaczenie, zsyłki. Do wszystkich starych oskarżeń jeszcze dodano jedno – pozostaliście pod niemiecką okupacją – wszyscy jesteście faszystami. A żeby udowodnić, że tak nie jest, musieliśmy usilnie pracować na władzę radziecką.

W pierwszej kolejności zaczęły się prześladowania wierzących w Boga. Przepisywano im faszizm, związek z obcym wywiadem. Trwały aresztowania chrześcijan, przede wszystkim pastorów i kaznodziejów. Wywożono ich nocą bezpowrotnie bez żadnego śledztwa lub sądu.

Jeszcze w 1940 roku zaczęto zrzucać dzwony z prawosławnych świątyń, zamykano domy modlitw. Zdarzało się, że buldożer zmieniał dom modlitwy w kupę drewna. Kto próbował w jakiś sposób wyrazić swoje niezadowolenie, szybko był represjonowany.

Ludzie zaczęli kierować się zasadą: „Precz ze wstydem! Wziąć z życia wszystko, co można”. Wśród młodzieży zaczęła się rozpusta. Zaś o budowie nowego społeczeństwa mówiono: „Bez Boga – szersza droga”.

Jakże nie przypomnieć słów Jezusa Chrystusa, mówiących o szerokich drogach ludzkich: „Wchodźcie przez ciasną bramę; albowiem szeroka jest brama i przestronna droga, która wiedzie na zatracenie, a wielu jest takich, którzy przez nią wchodzi. A ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do żywota; i niewielu jest tych, którzy ją znajdują” (Mt.7:13-14).

Dla dziewcząt idących szeroką drogą, wiele młodzieńczych kontaktów w tym czasie kończyło się ciążą. Dzieci nie dały się kierować swoim rodzicom. Naprawdę, nastąpiła władza ciemności. Bóg, przeciwko któremu obróciło się dużo ludzi, zabrał Swoją chroniącą rękę i królował duch zła, sam diabeł.

Na początku marca 1944 roku dowództwo wojskowe ogłosiło powszechną mobilizację. Zgodnie z nią mężczyźni od 18 do 60 lat musieli przyjść do komisji wojskowej, żeby się zarejestrować.

Wojska niemieckie wybudowały umocnienia pod Kowlem w Rowińskim okręgu. Dowództwo radzieckie podjęło straszną decyzję: żeby spokojna ludność odebrała od broniących się Niemców składy amunicji, a później rzucić do przodu główne siły. Tak w jedną noc obywatele przebrali w wojskowe mundury, dali do rąk strzelby i poprowadzili na pierwszą linię. Tej nocy zginęło tysiące niewinnych obywateli, mężczyzn i młodych chłopców, z których zrobiono „żywe tarcze”. W naszej wsi nie pozostał żaden mężczyzna, nie licząc starców i dzieci, a nas, wierzających braci, było około 30 osób.

Przed nami stanęło pytanie: iść na jawną rzeź, czy nie? To pytanie przynieśliśmy Panu w modlitwie. I oto na nabożeństwie modlitewnym, które odbywało się w domu prywatnym, bo dom modlitwy zabrano nam, Pan przez Ducha Świętego za pośrednictwem daru proroctwa obwieścił nam Swoją wolę: „Dzieci Moje! Nie idźcie na pewną śmierć. Ta burza jest krótkotrwała. Ufajcie Mi, Ja was zachowam”.

Lecz sąsiedzi byli pełni nienawiści i zemsty za to, że ich mężowie i synowie zginęli, a my, pobożni, zostaliśmy cali. Dosłownie byliśmy winni śmierci ich bliskich!

Gdy w niedzielę odbywało się kolejne nabożeństwo, podjechał samochód wojskowy, otoczyli dom, pod lufami karabinów maszynowych wypędzili nas z domu, ustawili i oświadczyli, że jesteśmy aresztowani.

W szyku pognali nas do rejonu. A za naszymi plecami zostały matki, siostry, żony i dzieci. Ile też wtedy wylano przed rozłąką. Lecz dobrze wiedzieliśmy i zdecydowanie wierzyliśmy, „że Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu z tymi, którzy Boga miłują” (Rz.8:28). Niewierzący okazali złośliwą satysfakcję.

Członkowie naszych rodzin długo nie rozstawali się z nami. Żołnierze nie mogli rozdzielić nas, popychali kolbami pistoletów. Tak wyszliśmy ze wsi razem. Lecz wkrótce zatrzymaliśmy się i wyjaśniliśmy siostronom, że dalej iść nie mogą. Zdecydowaliśmy się pomodlić, zgięliśmy kolana.

Była to niezwykła modlitwa. Możliwe, że ktoś modlił się, jak Hagar na pustyni, inny w sercu wołał do Boga: „Ojczy, odsuń ten kielich ode mnie”. Trzeci, jak Szczepan: „Panie! Nie policz im grzechu tego”. A być może, że ktoś, jak Paweł i Barnaba, napętniwszy się Duchem Świętym, śpiewał na chwałę Panu. Tę modlitwę było słyhać daleko – nie tylko na ziemi, lecz i niebie.

W tej przełomowej sytuacji Bóg mówił do nas: „Dzieci Moje. Nie smućcie się. Ja was zachowam”.

Modlitwa przeciągała się i prawdopodobnie jeszcze długo by trwała, lecz dowódca konwoju nie wytrzymał i podał komendę: „Wszyscy powstań!”. Nikt go nie posłuchał. Wtedy on znowu podał komendę. I tak trwało do trzech razy, lecz nikt nie wstawał z kolan. I oto zabrzmiała komenda: „Ognia!”.

Huk serii. Wydawać mogłoby się, że obok powinny być rozstrzelane ciała braci, lecz kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że wszyscy są cali, a modlitwa trwa i się nasila.

Wtedy część żołnierzy oddała broń innym konwojującym. Po dwóch podchodzili do nas, brali za ręce i wprowadzali do szeregu. Tak rozstaliśmy się ze swoimi bliskimi.

W centrum rejonu, dokąd nas przyprowadzono, przenocowaliśmy w budynku szkoły. Lecz wcześniej rano podniosła nas komenda i posłaliśmy w kierunku stacji kolejowej. Przeszliśmy około 30 kilometrów bez chleba i wody. Do wyznaczonego

miejsca dotarliśmy dopiero pod wieczór. Chcieli nas od razu, bez zwłoki, wysłać w wagonach towarowych w głąb Rosji, lecz na stacji Antonowka nie było wagonów.

Na noc rozmieszczono nas w jednym z chutorów, Zaprowadzili do chlewa, na słomę. Ten chutor z jednej strony otaczała rzeka Gerzń, z drugiej był wąski prześmyk, na którym dowództwo postawiło wzmocnioną wartę, żeby nikt nie próbował uciec.

W chutorze zostało zebranych już sporo mężczyzn. My zaś staraliśmy się nie wiązać z nikim, będąc w ostatniej szopie, niedaleko od wartowników. Między sobą wszyscy zastanawiali się, jaki to cud uczyni Pan.

Następnego dnia naszej niewoli gorąco modliliśmy się, a Pan kolejny raz przemówił do nas: „Dzieci Moje! Jutro rano spadnie śnieg, do wieczora pogoda się zmieni, będzie jasno i ściśnie mróz. Wartownicy zmarzną i zejda z posterunku do najbliższego domu, żeby się ogrzać. W tym czasie droga będzie dla was otwarta. Tylko bądźcie mądrzy. Przechodźcie strefę ochrony po jednych śladach, żeby nie spowodować podejrzeń wartowników”.

Był kwiecień. Kwitły wiśnie i czereśnie, śpiewały słowiki.

I oto nastał nowy dzień. Nasze oczy ujrzały cud! Niebo stało się mroczne, spadł duży śnieg. Padał z taką mocą, że po dwóch godzinach przykrył ziemię 20 centymetrową warstwą. Później zaczął wiać silny wiatr i rozgonił chmury. Ścisnął mróz.

Z nastaniem nocy ja i bracia nie spaliśmy. Ciągłe patrzyłem przez szparę, czekając, kiedy zejda z posterunku nasi wartownicy. O północy, przed wykonaniem się tego, co przepowiedział Pan, wszystko wydarzyło się tak, jak oczekiwaliśmy. Posterunek został opuszczony. A my gęsiego, po śladach, wyprawiliśmy się w drogę.

Do świtu przeszliśmy lasem pół drogi. Zmęczeni i głodni postanowiliśmy podziękować naszemu Panu za uczyniony cud. Rozpaliśmy w lesie ognisko, wysuszyliśmy się, a wieczorem byliśmy już w domu.

Na drugi dzień po opadzie śniegu pogoda się zmieniła i śnieg zginął.

Chwała Panu! Wszystko jest Mu uległe i wszystko na Nim się opiera. Jakże jest dobrze, gdy On kieruje naszym losem i kiedy we wszystkim ufamy Mu! „Cudowne są dzieła twoje i duszę moją znasz dokładnie” (Ps.139:14).

Po jakimś czasie od naszego aresztowania nasze siostry przyszły do chutoru, gdzie powinniśmy byli być i skąd uciekliśmy z Bożą pomocą. One przyszły tam i oczywiście nie zastały nas. A dowódcy oświadczyli im: wasi pobożni nocą chcieli uciec, a my ich do rzeki wrzuciliśmy, tak więc szukajcie, gdzie chcecie.

Tak Bóg zachował nas. I dalej każdego wieczoru, zbierając się na modlitwie, otrzymywaliśmy od Pana odpowiedzi, gdzie mamy być i co mamy robić.

Po miesiaćcu, w maju 1944 roku, w rejon wyjechały karne oddziały. Wszystko w okolicy przeryli bagnietami – w domach, spichlerzach, piwnicach, strychach, szopach, stogach – wszędzie, gdzie tylko możliwe. Na pytania ludzi o cel rewizji, następowała gniewna odpowiedź: „Nie wasza sprawa”. Po masowych rewizjach zaczęto zabierać wszystkich ocalałych mężczyzn. Na nabożeństwie modlitewnym Duch Święty ostrzegł nas: „Dzieci Moje! W domach nie ma dla was miejsca. Idźcie gdzieś. Bądźcie tam, dopóki nie nakażę”.

Po tym, gdy wykonaliśmy nakaz Ducha Świętego, była oblawa na mężczyzn.

My w tym czasie byliśmy już bezpieczni. Lecz każdej nocy oddziały uzbrojonych ludzi przeczesywały okolicę: las, pola, łąki. Nikt nie mógł ukryć się przed nimi. Wszystkich, którzy próbowali to robić, znajdowano. Lecz kiedy żołnierze zbliżali się do tego miejsca, gdzie byliśmy my, wtedy Pan wskazywał nam inne miejsce, gdzie należało być.

Nasze siostry przyganiały bydło na pastwisko i przynosiły nam jedzenie. Gdy żołnierze zobaczyli, że pastuszki noszą tak dużo jedzenia, zaczęli pytać się o przyczynę i zaczęli zabierać, zostawiając tylko kubek mleka i 200 gramów chleba. W ten sposób zostaliśmy bez jedzenia i nie wiedzieliśmy, jak długo tak będzie. Lecz Pan uprzedził nas, że będzie to trwało dziesięć dni.

We wsi przy każdym domu stali z automatami i kontrolowali. Co robić? Wołaliśmy do Boga: jak dostać chleb? Było nas dwadzieścia osób. I Bóg odpowiedział nam: „Synu Mój, Filipie, i synu Mój, Antipie, idźcie każdy do swojego domu i przynieście pokarm”.

Wspaniale było słyszeć, jak Pasterz woła Swoje owce po imieniu, a owce słuchają głosu Jego (J.10:27). Bracia usłyszeli swoje imiona, lecz Pan powiedział jeszcze, że oni zwątpią i wybuchnie strzelanina, lecz to nikomu nie zaszkodzi.

Umówiliśmy się i poszliśmy, wcześniej wyznaczwszy miejsce następnego spotkania. Antip musiał przejść do swojego domu mijając dwa posterunki i jedną drogę. Ja musiałem iść trochę dalej – przez 4 posterunki i dwie drogi. Szedłem normalnym krokiem, nie śpiesząc się, nawet gdy przechodziłem przez posterunki. Bóg powiedział, że strzeże, a to znaczy, że wszystko będzie w porządku. Tak też było. Po jednej stronie stoi jeden z automatem, a obok drugiego ja przechodzę. Widzę go, tylko on mnie nie widzi. Chwała Bogu! Pan jest Bogiem cudów. Jak kiedyś anioł wyprowadził Piotra z więzienia, tak też i nam anioł towarzyszył i strzegł.

W drodze powrotnej, nie doszedłszy do miejsca spotkania, znalazłem torbę Antipa. Ledwo dotaszczyłem obie torby do naszego obozu. Opowiedziawszy braciom o wszystkim, uwielbiliśmy Boga w modlitwie. Bóg powiedział, że brat jest bezpieczny i wkrótce przyjdzie. O świcie pojawił się i opowiedział, co z nim się stało.

W drodze do domu szedł tak samo dobrze, jak i ja. Na posterunkach stali wartownicy, lecz oni dosłownie oślepli i nie widzieli przechodzącego obok człowieka. Kiedy przyszedł do domu, to zjadł, matka zebrała dla niego jedzenie, co zajęło około dziesięciu minut. Lecz, gdy wziął torbę i chciał iść w powrotną drogę, nieoczekiwanie dla niego ogarnął go niesamowity strach. Otworzył furtkę, w niepewności zamknął z powrotem. I tak trwało parę razy.

A wartownik trzyma palec na spuście. Antip mógł w tym czasie zacząć modlić się modlitwą Piotra: „Panie! Ginę!” Lecz on pchnął nogą furtkę i ucieka... Tak spełniło się słowo Pana, że jeden zwątpi. Antip dobiegł do błota, rzucił torbę i włożył do pasa, ratując się w ten sposób. A w tym czasie szedłem tą samą drogą i znalazłem jego torbę. Antip myślał, że zabrali ją żołnierze.

Ta historia wiele nas nauczyła. Pokazała ona, co znaczy wierzyć w moc i władzę Boga. Przez wiarę podobamy się Bogu, a Bóg z kolei prowadzi i broni nas. A bez wiary pozbawiamy się tego. Wątpliwości i strach pochodzą od diabła. Niech zachowa nas Pan od tego.

Przez dwa dni zjedliśmy to, co przynieśliśmy. Ponownie modliliśmy się i zno-

wu otrzymaliśmy odpowiedź: „Synu Mój, Filipie, idź przynieś pokarm”. Zaś Antipa Pan więcej nie posyłał, gdyż „człowiek o rozdwojonej duszy, chwiejny w całym swoim postępowaniu” (Jk.1:8). Tylko nie pomyślcie, że taki człowiek nie otrzyma zbawienia. Wcale nie. Przecież i Tomasz mało wierzył, lecz zbawienie należało i do niego. Lecz wątpliwy nie jest zdolny do wykonania Bożego polecenia.

Łaski Bożej chodziłem po jedzenie cztery razy i przechodziłem przez postępowanie 32 razy. Chwała Bogu!

A po dziesięciu dniach w modlitwie Pan powiedział: „Dzieci Moje! A teraz idźcie każdy do swojego domu”. Co też zrobiliśmy, słuchając Pana. We wsi nie było ani jednego żołnierza. Prócz nas, braci wierzących, starców i dzieci, we wsi nie pozostał ani jeden mężczyzna.

Zrozumeliśmy, że Pan zachował nas dla chwały Swojej. Pomagaliśmy sierotom i wdowom pozostającym we wsi, i swoim dobrym przykładem doprowadziliśmy wielu do zbawienia, którzy przez wiarę przyjęli Jezusa jako swojego Zbawiciela. Bracia pozostali w domu i nikt ich więcej nie niepokoił.

7. Los określił Pan

*„Wiele zamysłów jest w sercu człowieka, lecz dzieje się wola Pana”
(Prz.19:28).*

Na początku czerwca 1944 roku powołano mnie do służby zasadniczej. W komendzie trzeba było wypełnić ankietę, w której było pytanie o moim wyznaniu, i odpowiedziałem, że jestem chrześcijaninem i wyznaję wiarę ewangeliczną. Wtedy komisarz zapytał mnie: „Ojczyznę będziesz bronił?”. Poprosiłem, żeby sprecyzował: „Powiedzcie, co jest moją ojczyzną? Przecież i Niemcy mówili, że trzeba bronić ojczyzny i Polacy, i banderowcy, i Rosjanie...”. Lecz w odpowiedzi usłyszałem: „Nasz kraj jest duży, tak że wywiozą ciebie daleko w jego głąb i nauczą rozumieć, co to jest ojczyzna”.

Drugie pytanie było w związku z przysięgą, czy ją złożę. Odpowiedziałem, że jeszcze podczas chrztu wodnego obiecałem służyć Bogu dobrym i czystym sumieniem, co znaczy nie czynić innemu tego, czego nie życzę sobie.

Ja wiem, że wszyscy ludzie równi są przed Bogiem i wszyscy chcą żyć. Lecz w świecie działają dwie moce. Bóg, który miłuje człowieka Swoją wieczną miłością, chce dać nam nowe życie. Mówi On do ludzi: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie. Weźcie na siebie moje jarzmo i uczenie się ode mnie, że jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych” (Mt.11:28-29).

Inna moc – duch zła, działa w świecie, „by kraść, zarzynać i wytracać” (J.10:10). Przez tę moc są wojny, zabójstwa, grabieże, rozwody i inne bezprawie wśród ludzi.

Jest los, to znaczy droga życiowa, którą idzie człowiek, i ona nie jest od Boga. Na przykład, znaczna część nieszczęśliwych wypadków dziś dzieje się z ludźmi, będącymi w stanie nietrzeźwym. Za popełnione przestępstwa ludzie ponoszą różne kary, bardzo wielu traci życie z powodu swojej beztroski. Ileż też dziś wylewają

matki z powodu swoich młodych synów, mężów, gdyż w ich życiu działa ten, który przyszedł kraść, zarzącać i wytracać.

Lecz jest los dany przez Boga. Wszyscy ludzie uznają Boże Narodzenie, święto, które oznacza, że Bóg przyszedł na naszą ziemię w ciele ludzkim, żeby dać nam życie w obfitości. Chwała Mu za to!

Lecz jak wtedy rozumieć, że drogę chrześcijanina przecinają trudności, doświadczenia, że człowiek idący drogą Pańską niekiedy musi znosić smutek, nielubiane okoliczności życia? Pismo odpowiada na to pytanie: „Wiemy bowiem, że całe stworzenie wespół wzdycha, wespół boleje aż dotąd. A nie tylko ono, lecz i my sami, którzy posiadamy zaczątek Ducha, wzdychamy w sobie, oczekując synostwa, odkupienia ciała naszego” (Rz.8:22-23). Żyjemy w świecie, nad którym ciąży klątwa. Zwierzęta – i one cierpią, nie tylko ludzie. Ale chrześcijanie mają wielką nadzieję – obietnicę Pana o przyszłym „odkupieniu ciała naszego”: „Gdyż sam Pan na dany rozkaz, na głos archanioła i trąby Bożej zstąpi z nieba; wtedy najpierw powstaną ci, którzy umarli w Chrystusie, potem my, którzy pozostaniemy przy życiu, razem z nimi porwani będziemy w obłokach w powietrze, na spotkanie Pana; i tak zawsze będziemy z Panem” (1Tes.4:16-17). Chwała Bogu! Czy krótkotrwałe cierpienia są porównywalne z tą niezrównaną mocą, która objawi się w nas?

Jaki zaś los daje nam Pan? „Wzywam was tedy, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście składali ciała swoje jako ofiarę żywą, świętą, miłą Bogu, bo taką winna być duchowa służba wasza. A nie upodabniajcie się do tego świata, ale się przemieńcie przez odnowienie umysłu swego, abyście umieli rozróżnić, co jest wolą Bożą, co jest dobre, miłe i doskonałe” (Rz.12:1-2). Jest oczywiste, że los, który ma dla nas Pan, przewiduje też i nasze oddanie. Mowa jest o rozumnej służbie, o rozumnym zachowaniu, co w konsekwencji prowadzi do rozumnej rodziny, rozumnego społeczeństwa. I odwrotnie, nasze nieposłuszeństwo, to znaczy nierozumność, prowadzi do przeszkód, stojących na drodze do przeznaczonego dla nas losu przez Boga, to jest najlepszej drogi, możliwej w życiu, która została nam dana.

Mamy smutne doświadczenie ludu izraelskiego. W planie Bożym, przeznaczonym dla tego ludu, musiał on po wyjściu z Egiptu wejść do ziemi obiecanej – Palestyny, która była w odległości 40 dni drogi. Lecz z powodu ich narzekania, buntu przeciwko Temu, Kto był ich Stwórcą, sami siebie pozbawili przeznaczenia, które było od miłującego ich Boga. Bo, co człowiek posieje, to i żąć będzie.

O! Ile młodzieży robi błędy w budowaniu swojego życia, nie dając miejsca temu, co Bóg przewidział, wypaczają los, sami będąc winni tego. A później, zalewając się łzami, uzalają się, narzekają na nieubłagany los. Lecz jest napisane: „Na co może uskarżać się człowiek, póki żyje? Niech się uskarża na swoje grzechy! Doświadczajmy i badajmy nasze drogi i nawróćmy się do Pana” (Treny 3:39-40). Błogosławiony jest ten, kto zrozumiał to w swoim sercu i we wszystkim polega na Bogu.

W centrum rejonu nas, poborowych, zebrało się bardzo dużo. Stąd piechotą przeprowadzono nas na stację kolejową Sarny, około 35 kilometrów. Na stacji formowano pociąg towarowy, żeby go wyprawić w głąb kraju.

Następnego dnia, 3 czerwca 1944 roku, trzy tysiące zebranych ludzi z całego obwodu, zostało załadowanych do wagonów. Na każdym co drugim wagonie były

umieszczone reflektory i wartownicy z automatami.

Pociąg odjechał do Alma-Aty. Siedem tysięcy kilometrów od domu. Gdy przejeżdżaliśmy blisko morza Kaspijskiego i Aralskiego, podczas postoju pociągu nabrał soli, która była rozrzucona na drodze jak piasek, i byliśmy zdziwieni, że w mieście, dokąd kierował się pociąg, nie ma soli. Dowództwo, które było z nami, zrobiło rewizję we wszystkich wagonach i całą sól, którą znaleźli, wyrzucili z pociągu.

Do miejsca przeznaczenia jechaliśmy 20 dob. Przejeżdżając przez Kazachstan widzieliśmy samo pustkowię. Było gorąco. Witwały nas tylko suszy, które wyglądały ze swoich nerek. Przez wiele dni nie widzieliśmy zamieszkałych miejsc. I przeżywaliliśmy, nie wiedząc dokąd nas wiozą. Jeżeli trafiały się stacje, to wyglądały one bardzo smutno – gliniana chała była dworcem kolejowym, a obok parę szałasów. Do pociągu podchodzili półnagie dzieci. Ich główki były nieproporcjonalnie duże na bardzo cienkich szyjkach, brzuchy wypięte, a nóżki – cieńsze od... Stały one z wyciągniętymi rączkami i prosiły o chleb.

Z domowych zapasów mieliśmy trochę sucharów. Lecz kiedy dawaliśmy suchara jednemu z dzieci, to inne przybiegały do niego chmarą i zaczynały awanturę.

Nie mogłem wtedy zrozumieć, dlaczego te dzieci są takie zeszczone. Lecz później dowiedziałem się, że były one rachityczne. Gdy widziałem te dzieci, w mojej głowie w żaden sposób nie mogły pomieścić się te słowa propagandowe, które tak próbowała wbić w naszą świadomość władza radziecka: „Rosja – to kraj obfitości”.

Wkrótce przybyliśmy do Alma-Aty. Od razu otoczyły nas kobiety, prosząc, żeby dać im chociaż troszeczkę soli. I wtedy stało się nam jasne, dlaczego nasze dowództwo w czerwonych furażerkach wyrzuciło całą sól. „Kto Boga nie boi się, ten ludzi się nie wstydzi”. Ci ludzie po prostu nie mogli i nie chcieli czynić dobra innym.

Nas, przybyłych, spisano i każdemu założono kartotekę. Podczas spisywania zdążyłem wyjaśnić swoje przekonania i wyznanie. Przydzielono nas do 98 pułku zapasowego.

Zaczęły się przyspieszone zajęcia wojskowe przed wyjazdem na front. W tym pułku znalazło się 39 braci w Chrystusie i każdy z nas podjął własną decyzję – nie składać przysięgi.

W tym czasie przysięga brzmiała w ten sposób: Klnę się przed ojczyzną, z bronią w rękach zabijać wroga do ostatniej kuli, nie szczędząc swojej krwi...”. Ta przysięga na tle tej obietnicy, którą złożyłem Panu podczas chrztu wodnego, wyglądała jak nieprzenikniona ciemność w porównaniu z doskonałą światłością.

Oświadczyłem, że szybciej umrę niż złożę tę przysięgę. Od tego momentu zaczęło się wpajanie „miłości do ojczyzny”.

Wszystkich, którzy odmówili, aresztowano. W nocy przeprowadzano przesłuchania, badając wszystko, zaczynając od tego, kim był dziadek, pradziadek, ojciec itd. Ale w zeznaniu śledczy pisali nie to, co mówiliśmy, a tylko to, co uważali za potrzebne. Przesłuchania trwały przez miesiąc, którym towarzyszyło fizyczne znęcanie się i groźby śmierci.

Jeszcze przy aresztowaniu zabrano nam paski, onuce, guziki. Z butów wyciągnięto sznurówki i obcięto haczyki. Podczas chodzenia trzeba było trzymać

spodnie obiema rękami, inaczej opadały. Była to bolszewicka „szkoła miłości”.

W okresie trwania kursów, „jak kochać swoją ojczyznę”, niektórzy bracia nie wytrzymywali i wyrzekli się wiary. Z tego powodu nasza sytuacja tylko się pogorszyła, bo „wychowawcy”, zobaczywszy powodzenie swojej działalności, postanowili zaostrzyć sposoby, powiększając nasze cierpienia. Lecz gdy przekonali się, że gotowi jesteśmy na śmierć, znęcanie się zostało przerwane.

8. Wyrok sądu polowego

*„A to wszystko uczynią wam dla imienia mego,
bo nie znają tego, który mnie posłał”
(J.15:21).*

Przez ten czas, kiedy przygotowywano naszą sprawę do szybkiego rozpatrzenia i późniejszego wyroku, pułk przygotowywał się do złożenia przysięgi. Powinna była ona zostać złożona dzień po ogłoszeniu naszego wyroku: „W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich zgodnie z rozkazem Sił Zbrojnych... – później wyliczono każdego oddzielnie, wymieniając nazwisko, imię, rok urodzenia, narodowość, wykształcenie itd. – Za odmowę złożenia przysięgi wojskowej, wydano wyrok, najwyższy wymiar kary – przez rozstrzelanie”. Wypadło na mnie, że szedłem ostatni... Ponad trzydzieści razy musiałem patrzeć na powtarzający się obraz – śmierć brata miłowanego, a później namowy śledczego, twarze zabójców, byłych braci...

O! Drogi czytelniku! Słowo Boże mówi: „Biada światu z powodu zgorszeń! Wprawdzie zgorszenia muszą przyjść, lecz biada człowiekowi, przez którego zgorszenie przychodzi” i „lepiej będzie dla niego, aby mu zawieszono u szyi kamień młyński i utopiono go w głębi morza” (Mt.18:7 i 6).

Myślę, że ich, byłych braci, sumienie będzie gryzło przez całe życie, tutaj na ziemi i tam, w życiu wiecznym.

Na ostatnie pytanie, zadane przez śledczego: „No, co?”, jakby pytające o moją ostateczną decyzję, odpowiedziałem: „Gdzie moi bracia, tam i ja pójdę”.

Poprowadzili mnie ostatniego. Lecz dziwne! Tym razem pułk w szeregu nie stał i prowadzili gdzieś dalej, dalej niż wykopane wcześniej groby. Ale dokąd? Nie mogłem zrozumieć. Wsadzili mnie do tramwaju. Mój wygląd był bardzo poniżający: spodnie podtrzymuję rękami, brudny, zarośnięty. Wszyscy ode mnie odwracają się w bok, jak od trędowatego. Oto, myślę, jak można zrobić w oczach innych z człowieka - nikczemnego przestępcę.

Lecz wiemy, że Jezus szedł tą drogą, a nas powołano, żeby iść Jego śladami. „I wypełniło się Pismo, które mówi: Zaliczono go w poczet bezbożników” (Mk.15:28). Został On zaliczony do przestępców będąc Synem Bożym, mając Bożą wielkość, cześć, chwałę. Apostoł Paweł wzywa Hebrajczyków: „Dlatego i Jezus, aby uświęcić lud własną krwią, cierpiał poza bramą. Wyjdźmy więc do niego poza obóz, znosząc pohańbienie jego. Albowiem nie mamy tu miasta trwałego, ale szukamy tego przyszłego. Przez niego więc nieustannie składajmy Bogu ofiarę pochwalną, to jest owoc warg, które wyznają jego imię” (Hbr.13:12-15).

Wieziono mnie do granic miasta i wysadzono przy wysokim murze ceglanym. Wprost przede mną była ogromna brama żelazna, 5 metrów wysoka. Z jednej strony bramy była furtka. Przeprowadzili mnie, lecz po 4 metrach druga brama z furtką, dalej trzy, lecz już z drutem kolczastym na górze. Dalej widziałem więzienny plac i budynki więzienne. Zaprowadzono mnie do jednego z budynków i prowadzono korytarzem. Otworzono drzwi do celi – „Wchodź”.

O...! Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, widzę w celi wszystkich moich braci żywych i całych, których prowadzono na rozstrzelanie! Krzyknąłem na cały głos: „Chwała Bogu!”. Razem zaczęliśmy się modlić modlitwą dziękczynną.

9. Życie więzienne

„Lecz zanim się to wszystko stanie, podniosą na was swe ręce i prześladować was będą i wydawać do synagog i więzień” (Łk.21:12).

Umieszczono nas w celi o powierzchni 12 metrów kwadratowych, 30 braci w wierze i 10 recydywistów. W celi nie było ani łóżek, ani krzeseł. Wszystko, co nas otaczało, to ściany, sufit i podłoga. W rogu stał „kibel”. Raz na dobę wyprowadzano nas do więziennej toalety, żeby się umyć i opróżnić „kibel”. Przez całą dobę przebywaliśmy w celi i przez cały ten czas oddychaliśmy ciężkim powietrzem.

O piątej godzinie rano była pobudka, a o dziesiątej wieczorem capstrzyk. Pobudka i capstrzyk zaczynały się po migotaniu lampki. Trzy razy migąła, a przedtem wszyscy cichli, zamierali w oczekiwaniu zajęcia swego miejsca do snu. Jeżeli ktoś nie zdążył zająć swego miejsca, to spędzał całą noc przy „kiblu”. Leżące miejsca były ciasne, z wyciągniętymi rękami i tylko na boku. Nikt nie był w stanie obrócić się na drugi bok. Za pościel służyła żołnierska bluza i buty na bosych nogach.

Racje żywnościowe składały się z 400 gramów chleba, który rozsypywał się jak kasza i 500 gramów zupy jeden raz dziennie. Zupę gotowano z suszonych łodyg i liści ogórkowych. i była tak gorzka, że nie można przekazać tego słowami. Cukru i tłuszczu nie widzieliśmy wcale. W wyniku takiego odżywiania zachorowaliśmy na szkorbut.

Szkorbut – to obumieranie tkanek dziąseł w jamie ustnej. Dziąsła i policzki czernieją z powodu gangreny i pomału odpadają. Cała jama ustna jest otwartą raną. Gdy kruszyna chleba trafia do rany, nieznośny ból ogarnia całe ciało. Gorzka zupa przyczyniała się do rozjątrzenia ran. I chociaż byliśmy bardzo głodni, zupy nie jedliśmy.

Przeprowadzano z nami okrutne eksperymenty. Wcześniej rano przed rozdaniem chleba, kolejnych 10 braci wzywano na przesłuchania do śledczych. Jednego brali na cały dzień, a pozostali spędzali czas na słońcu w 40 stopniowym upale. Strażnicy, którzy nas pilnowali, lokowali się pod grzybkciem w cieniu i zmieniali się co dwie godziny. W dzień byliśmy pod palącymi promieniami słonecznymi, wyczerpani i głodni. Trwało tak 10 dni od wczesnego rana do późnej nocy. Robiono to w celu pozbawienia nas jedzenia, bo nie mieliśmy prawa jeść po capstrzyku, w celi musiała być „martwa cisza”.

Tak więc, 10 dni żyliśmy bez chleba i picia. I modliliśmy się: „Panie! Wszyscy osłabiliśmy, mamy ostatnie siły, odpowiedz nam na naszą modlitwę. Panie, odpowiedz! Widzisz naszą wierność. Uczyni to ze względu na Twoją miłość do nas. Ty wiesz, jak to zrobić”.

W Piśmie jest jedna historia, gdy po nakarmieniu 5 tysięcy ludzi Jezus nakazał swoim wsiąść do łodzi i płynąć na drugą stronę jeziora do Genezaret. Lecz wiał przeciwny wiatr, który im zagrażał. Chrystus to widział i poszedł po wodzie o czwartej straży nocnej. Noc wtedy dzielono na cztery straże nocne: Pierwsza – od 6 do 9 godziny wieczorem; druga – od 9 do 12 w nocy; trzecia – od 12 do 3 w nocy i czwarta – od 3 do 6 godziny rano.

Może pojawić się myśl, że Jezus zostawił ich samych w nieszczęściu. O, przyjaciele! Po stokroć nie! Każdy człowiek ma swoją siłę, swoje ludzkie plany i często na nich polegamy. Lecz Bóg nie chce łączyć tego, co On chce robić, z planami ludzkimi. I dopiero wtedy, gdy cała nasza ufność w siebie upada pod naciskiem okoliczności, wtedy całkowicie polegamy na Panu, patrzymy tylko na Niego, a On przychodzi z pomocą. Chwała Mu! Gdy Jezus przyszedł po wodzie do Swoich uczniów – wszystko było na swoim miejscu.

Ale dlaczego dosięgają nas w życiu podobne doświadczenia? Przecież wszyscy mamy grzeszną naturę, odziedziczoną po prarodzicach, lecz Bóg chce przekształcić nas na obraz Syna Swego, którego dał ludzkości. Nasz Ojciec Niebieski, jak mądry wytapiacz, przetapia nasze serca w palenisku różnych prób, a później kując na kowadłe naszego życia, czyni nas takimi, jakich chce widzieć w wieczności. Nie narzekajmy, pamiętając, „że Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu z tymi, którzy Boga miłują, to jest z tymi, którzy według postanowienia jego są powołani”.

I tak, rozmawialiśmy z Panem w skrusze, prosto, bez wyszukanych słów. „Panie! Już cztery straże – przyjdź nam z pomocą!”. Takiej modlitwie Bóg nie mógł odmówić.

Następnego dnia znowu rozłożyliśmy się pod ogrodzeniem. Lecz po jakimś czasie ktoś trąca mnie w bok. Obracam głowę i przez szparę, którą zauważyłem wcześniej, widzę pięcioletnie dziecko, wtykające w otwór kawałek chleba, około 400 gramów, i mówiące: „Wujku, weź – to dla ciebie”. W tym czasie 100 gramów chleba kosztowało 100 rubli.

Dziękując Bogu przypominałem, że Bóg też proroka Eliasza karmił, posyłając kruka, który przynosił mu mięso i chleb. Zaś do nas Bóg posłał to dziecko.

Pracownicy medyczni i kierownictwo więzienia wyraźnie byli nastawieni, żeby zrobić z nas zabawne widowisko, pokazać nam, że Boga nie ma, gdyż nam nie pomaga. „Gdzie jest wasz Bóg? – szydzili. – Zdechniecie w więzieniu jak psy, oto i cały wasz Bóg”.

Śledztwo i przesłuchania trwały. Wszyscy dostali możliwość do woli znęcania się nad nami – śledczy, naczelnik więzienia, pracownicy służby bezpieczeństwa.

Przez pięć miesięcy nikt nie zmieniał nam bielizny. O łaźni nie mogło być mowy. Ta bielizna, którą mieliśmy na sobie, zbutwiała, koszule opadły z ramion. Byliśmy zarośnięci, oberwani i głodni. Z braku witamin skóra zaczęła łuszczyć się, jak rybia łuska, stała się cienka i tak przezroczysta, że można było policzyć wszystkie żyły. Mózg zaczął słabnąć, traciliśmy zdolność pamiętania nawet tego, co działo się poprzedniego dnia.

W ostatnim stadium głodu zaczynają brzęknąć ręce i nogi. I kiedy obrzęk dojdzie do klatki piersiowej, serce rozszerza się i później się zatrzymuje. Śmierć głodowa prawdopodobnie jest najłżejsza, lecz droga do niej jest bardzo ciężka i męcząca.

Niektórzy bracia umarli w celi. Opuchlizna przed śmiercią doszła do takiego stopnia, że ciało nie mieściło się w ubraniu. Człowiek staje się podobny do bałwana z oczami. Gdy przychodzili lekarze, nożyczkami rozcinali nogawki i rękawy.

U mnie opuchlizna doszła do poziomu brzucha. Lecz modliłem się, rozmawiałem z Panem, jak syn z Ojcem: „Panie, mam 19 lat i nic nie zrobiłem dla Ciebie. Jeżeli jestem potrzebny Tobie na ziemi, pozostaw mnie przy życiu, ale jeżeli nie jestem potrzebny, to zabierz mnie do Siebie”.

Patrzyłem na życie i śmierć przez słowa apostoła Pawła: „Albowiem dla mnie życiem jest Chrystus, a śmierć zyskiem” (Flp. 1:21).

Po modlitwie straciłem świadomość i jak długo byłem w tym stanie – nie wiem. Lecz kiedy ocknąłem się, to czułem się dobrze. Powiedziałem: „Chwała Tobie, mój Panie, to znaczy, że jestem potrzebny Ci na ziemi”.

Z powodu trwającego szkorbutu, moje dżiąsła wyschły, zęby mocno się ruszały. Dopuszczałem myśl, że wszystkie moje zęby wypadną. Lecz o czwartej straży nocnej znowu przyszedł Pan i całkowicie uzdrowił mnie z tej choroby.

Dziś mam 66 lat, lecz zęby są całe. Do wszystkich moich doświadczeń doszło jeszcze jedno. Naczelnik więzienia postanowił poznać się nade mną. Wezwał mnie raz na rozmowę, lecz widząc, że nie można ze mną rozmawiać na tematy ateistyczne, wypisał mi pięć dni karceru.

Co to jest karcer? W więzieniu są ogólne cele, zwykłe cele i cele dla skazanych na śmierć. Cele dla skazanych na śmierć – to takie, z których żywym nikt nie wraca. Są cele długie na dwa metry i szerokie na metr, a w nich po kolana lodowata woda. Są cele-chłodnie, są i takie, w których lodowata woda kropla za kroplą kapie w jeden punkt głowy.

Zaprowadzono mnie do celi-chłodni. Byłem w porwanej koszuli, buty na gołych nogach. Oglądając zobaczyłem, że na ścianach i na suficie jest lód. Mróz, jak igielki, zaczął przenikać mnie przez całe ciało. Kończyny posiniały, palce nóg i rąk straciły czucie.

Przedemną siedział człowiek i bardzo głośno krzyczał: „Naczelniku, zamazam!”.

Lecz w więzieniu jest takie prawo: co by z tobą nie robili, musiała być martwa cisza. Dyżurny ostrzegł go: „Milcz!”. Lecz ten nie przestawał krzyżeć. Po trzecim krzyku dyżurny otworzył drzwi celi i zaczął bić, kopać go butami. Usłyszałem jęk, który stopniowo cichł, a później zupełnie zamilkł. Było zrozumiałe, że tego człowieka już nie ma wśród żywych (dyżurny dobił go), a prośenie o oszczędzenie, jakiegokolwiek uniżenie tutaj nie ma żadnego sensu. Oznaczało to, że wyniosą mnie z tej celi po pięciu dniach żywego lub martwego, nie wcześniej i nie później.

Znowu modliłem się poprzednią modlitwą: „Panie, jeżeli Ty chcesz, to pozostaw mnie przy życiu”. Dobę spędziłem mając świadomość. Dlaczego to pamiętam? W więzieniu pobudkę i capstrzyk ogłaszano uderzeniem w szynę. Pierwszego dnia słyszałem dwa uderzenia. Lecz później już nic nie pamiętałem, to znaczy cztery doby leżałem na podłodze bez świadomości, jak zamrożona łądra.

Gdy doszedłem do siebie, zobaczyłem że jestem w ciepłym pomieszczeniu,

nade mną prycza, materac, pod głową poduszka. Razem ze mną jeszcze trzech mężczyzn na pryczach. Zapytałem ich, jak tu trafiłem. Odpowiedzieli, że dwaj sanitariusze przynieśli mnie na noszach i położyli. „Myśleliśmy, dlaczego do nas, żywych, przynieśli nieboszczyka? Oczy miałeś zamknięte, a twarz biała, jak ściana. Lekarz długo siedział i wyczuwał puls, ale kiedy poszedł, otworzyłeś oczy”. „O, mój Boże! Cudowne są dzieła Twoje i duszę moją znasz dokładnie” (Ps. 139:14).

Po takich próbach nie brało mnie żadne przeziębienie: ani kaszel, ani grypa itd.

Po skończeniu dochodzenia nasza sprawa została skierowana do kontrwywiadu, SMIERSZ, w celu podjęcia decyzji. Do czasu określenia naszego losu przewieziono nas do Karagandy. Żebyśmy nie jedli darmo państwowego chleba, do baraku przywieziono słomę owsianą, z której musieliśmy pleść słomiane taśmy. Była ustalona norma dla każdego więźnia. Kto nie wykonywał normy, ten nie dostawał części dziennego wyżywienia.

Pracując, kapaliśmy się w słomie, jak kury, i gdy znajdowaliśmy ziarna, zjadaliśmy je razem z łuską. Po trzech miesiącach przyszła decyzja z kontrwywiadu. Za unikanie obowiązku wojskowego należał się nam najwyższy wymiar kary, lecz opierając się na jakimś paragrafie z kodeksu, karę śmierci zamienili na 10 lat pozbawienia wolności z odbyciem w obozach pracy.

10. Etap

*„Na świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie, Ja zwyciężyłem świat”
(J.16:33).*

Po ogłoszeniu wyroku w końcu nas umyło, ostrzyżono, wydano obszarpane waciaki i onuce, później odprawiono na stację kolejową, żeby wyprawić w dalszy etap. Żaden z nas nie mógł sam wejść po stopniach do wagonu, dlatego dwóch żołnierzy brało nas za ręce i nogi, i w taki sposób wrzucali.

W wagonie każdy przedział był oddzielony od przejścia drzwiami metalowymi i kratami. W tym przedziale, który wielkością był równy tym, w których dziś jeździ się po cztery osoby, upchano nas około 26 ludzi. Dziś, kiedy muszę jechać pociągiem, dziwię się, jak było to możliwe.

Każdemu więźniowi wydano chleb i suchy prowiant na pięć dni. Lecz zjedliśmy wszystko na raz, co nam wydano, a potem przez pozostały czas jechaliśmy głodni. Pociąg odjechał na Daleki Wschód. Nasza podróż przebiegała przez Ałtajski kraj, Buriatię, Chabarowski kraj, Magadan i Pietropawłowsk-Kamczacki.

W Pietropawłowsku skazanych wyprowadzono z wagonu i poprowadzono do obozu. I chociaż odległość do obozu była nieduża, szliśmy bardzo długo, bo nogi odmawiały posłuszeństwa. Był czterdziestostopniowy mróz. Chociaż szliśmy w oberwanych waciakach i w butach, wszystko odmroziliśmy. Palce nóg, policzki, nos i uszy straciły czucie.

Kiedy zaś podeszliśmy pod obóz, mocno ucieszyliśmy się – wkrótce wejdziemy do ciepłych pomieszczeń i ogrzejemy się. Ale tak nie było. Wcześniej trwał targ, jak kiedyś w niewolnictwie. Oglądaliśmy nas i doszli do wniosku, że nie jeste-

śmy w dobrym stanie, żeby przebywać w obozie. Kierownictwo obozu mówiło: „Najpierw doprowadźcie więźniów do stanu, w którym będą zdolni do pracy, a później przyjmujemy”. Potrzebowali, żebyśmy mogli dobrze pracować. „Potrzebni są nam robotnicy, a nie żywe trupy – tak mówili. – U nas jest obóz pracy, a nie sanatorium. Wieźcie dokąd chcecie”. Dopóki trwał targ, trzymano nas na mrozie jeszcze dwie godziny. Jeśli ktoś nie wytrzymał i zaczynał protestować i narzekać, temu szybko zakładano kajdanki.

Kiedy rozstaliśmy się z GUŁAG-iem, zostało wydane polecenie, żeby przewieźć nas do Magadanu. Gdy przywieźli do Magadanu, powtórzyła się ta sama historia. Z Magadanu przewieźli do Jakutska. Z Jakutska – do Krasnojarska. W Krasnojarsku ledwo doszliśmy do obozu, lecz i tam nas nie przyjęli. Jeszcze mężczyli nas w miastach Zachodniej Syberii: w Kiemierowie, Nowosybirsku, Omsku, Swierdłowsku.

W Swierdłowsku zeszlśmy z wagonów i zostaliśmy zaprowadzeni do więzienia przejściowego na 10 dni kwarantanny w związku z naszą epidemią. Do celi napchano nas tyłu, że przez cały czas musieliśmy stać. Spać też musieliśmy w pozycji stojącej. Wisieliśmy na ramionach jeden drugiemu. Nikt za nikogo nie odpowiadał. Jeżeli ktoś umierał, do palca nogi przywiązywano metryczkę i wynoszono do dołu.

Po tym, gdy apostoła Pawła stracono w Rzymie, w tym mieście Pan stworzył potężny zbór. Kiedy nas prowadzono z powrotem z więzienia do wagonów, modliliśmy się do Boga, żeby On w tym mieście, gdzie przeszła droga Jego męczenników, stworzył Swoją zbór. Dziś w Swierdłowsku działa pięć zborów Chrześcijan Wiary Ewangelicznej. Chwała Bogu! „Ci, którzy sieli ze łzami, niech zbierają z radością!” (Ps.126:5).

Ze Swierdłowska powieźli nas w dalszy etap. Ostatnim przystankiem naszej długiej drogi była stacja Suchobiezwodnoje w okręgu Gorkowskim. Nasze tourne w wagonie trwało trzy miesiące. Przez ten czas nie dawano nam ciepłego jedzenia. Dopiero, gdy strażnicy, pilnujący nas, jedli w wagonie, a aromatyczny zapach mięsnej zupy i gorącej kaszy rozchodził się po wagonie, mogliśmy go wdychać z powietrzem. Wydawano suchy prowiant na 7 dni, którego nikt nie dzielił na ten okres, ale zjadano go od razu, pozostając bez jedzenia przez cały pozostały czas. Wodę dawano nam po kubku.

Lecz strażnicy zmieniali się i jeśli wśród nich trafiali się współczujący nam, to na postojach przynosili nam trochę więcej wody. Ale byli i tacy, którzy patrzyli na nas, jak na zwierzęta. Przecież zaliczaliśmy się do wrogów ludu. Tacy w ogóle mogli nie dać wody.

Skarżyć się nie było komu. Niekiedy całe tygodnie nie widzieliśmy wody. Niektórzy ze skazanych wypróżniali się do buta i pili swój mocz. Nie można wyobrazić bez praktycznego doświadczenia, co staje się z człowiekiem, który zjadł chleb, a później przez tydzień pozostaje bez wody, bez najmniejszego łyku. O, Panie! Oduść naszym i Twoim nieprzyjaciółom, bo nie wiedzieli, co czynili.

Z Karagandy wyjechaliśmy pod koniec 1944 roku, a do końcowego punktu, do okręgu Gorkowskiego na stację Suchobiezwodnoje, przybyliśmy na początku 1945 roku. Obóz, do którego chciano nas skierować, nazywał się obozem porządkowym. Od stacji znajdował się w odległości trzech kilometrów. Lecz tę odległość szliśmy godzinami. Strażnicy, nie wytrzymałając naszego wolnego tempa, szli

do przodu, a nam pokazywali kierunek naszej drogi. Wiele razy upadaliśmy, jak pijani, z trudem znajdując równowagę, żeby iść dalej.

Już stopniał śnieg, w powietrzu czuć było wiosnę. Wielokrotnie padając w mokry śnieg, wszyscy przemokli i bardzo przemarzli. W końcu dotarliśmy do obozu.

Wszystkich nas umieszczono w baraku na czas kwarantanny. Dyżurny od razu przyniósł wrzątku. Trudno opisać, jaka radość napełniła nas wszystkich, gdy dostaliśmy gorącą wodę. Piliśmy, piliśmy i piliśmy. Wieczorem zawołali nas na stołówkę na kolację. Lecz po to, żeby wejść do stołówki, trzeba było wejść po stopniach – było ich trzy. Nikt nie mógł tego zrobić. Wtedy na czworakach pokonaliśmy tę „przeszkodę”.

W baraku było ciepło i co bardzo cieszyło, było dużo wody. W pierwszą noc, chociaż położono nas na gołych pryczach, spaliliśmy jak zabici, wyczerpani po długim etapie. Nie niepokoiły nas nawet pluskwy, które tutaj roiły się w dużej ilości.

W pierwszą noc niektórzy z naszych braci odeszli do wieczności, spoczęli na zawsze w Chrystusie. W obozie wtedy szalał głód. Każdego dnia, szczególnie po nocy, wywożono ciągle nowe trupy.

11. Życie obozowe

*„Słuchaj uważnie błagania mego, bom bardzo udręczony,
wybaw mnie od prześladowców moich, bo są silniejsi ode mnie!
Wywiedz mnie z więzienia, abym wysławiał imię twoje” (Ps.142:7-8).*

Po dwóch tygodniach, które mieliśmy na odpoczynek, rozdzielono nas po brygadach. Do naszego przybycia w obozie pracowały brygady robocze drwali i ładowaczy. Mnie zapisano do brygady drwali.

Odległość od obozu do wyrębu wynosiła 10 kilometrów. Do miejsca pracy towarzyszyły nam owczarki i wzmocnione straże. W obozie było wszystkich uwięzionych trzy tysiące. W drodze do pracy, podczas marszu, w kolumnie często umierali ludzie. W pracy moim obowiązkiem było palenie sęczków. Sił było mało i biorąc w ręce sęczek, często potykałem się o inny i upadałem.

W maju 1945 roku kolejny raz wyprowadzano nas na przesiekę. Lecz w drodze jedno wydarzenie wstrząsnęło nami. Jeden z więźniów bardzo zachciał pójść „na stronę”. Strażnik zatrzymał kolumnę i dał mu pozwolenie oddalenia się. Ten, gdy odszedł na bok, opuścił spodnie i przysiadł, lecz w tym czasie strażnik jednym strzałem rozprawił się z nieszczęśnikiem. Według prawa było to usprawiedliwione – krok w lewo lub krok w prawo podczas przemarszu, nagradzany był kulą.

Strażnicy mieli swoje zasady i porządki. Okazało się, że za strzelenie tego, kto wyłamał się z szyku w lewo lub prawo, należał się im urlop na wyjazd do domu i nagroda pieniężna.

Jesteśmy na wyrębie. Jest pogodny dzień majowy, śpiewają słowiki, majowe słońce swoimi promieniami ogrzewa dobrych i złych. Patrzę w niebo i chcę krzyknąć: „Niebioso opowiadają chwałę Boga, a firmament głosi dzieło rąk jego. Dzień dniowi przekazuje wieść, a noc nocy podaje wiadomość. Nie jest to mowa, nie są to słowa, nie słyhać ich głosu... A jednak po całej ziemi rozbrzmiewa ich dźwięk i

do krańca świata dochodzą ich słowa... Tam na nich słońcu postawił namiot. A ono jak oblubieniec wychodzi ze swej komnaty, radując się jak bohater, biegnąc swą drogą. Z jednego krańca niebios wychodzi i biegnie do drugiego krańca, i nic się nie ukryje przed jego żarem” (Ps.19:2-7).

Na zabójcę słońce też świeci. I napełniają się oczy łzami, gdy uświadamiasz, że sprawiedliwość Boża jest w niewoli, a na ziemi króluje grabież, zabójstwa, gwałt.

I Jezus płakał nad Jerozolimą, która nie widziała i nie poznała Bożego nawiedzenia. I nad naszą Rosją płakał Jezus, płakało tysiące więźniów za Słowo Boże, płakały sieroty i wdowy, którym nie było sądzone zobaczyć swoich ojców i mężów. Panie! Zmiłuj się nad Rosją!

W lesie ginął ostatni śnieg, ziemia została ogrzana przez słońce, które chętnie dawało swoje ciepło. Ukazały się pierwiosnki, rozwijały się lipowe pączki, zaczynało się wiosenne życie. To było życie. Pomyślałem wtedy: „A co będzie, gdyby to wszystko jeść? Przecież to wszystko jest życiem, a to znaczy, że i mnie ożywi”. Zaraz na wzmocnienie wiary przypomniały mi się słowa Jezusa Chrystusa: „a choćby coś trującego wypili, nie zaszkodzi im” (Mk.16:18) Przypomniawszy tę obietnicę, zacząłem jeść pierwiosnki, napełniając nimi całe usta. Później zacząłem jeść lipowe pączki. Okazało się, że było to dla mnie wspaniałym dietetycznym jedzeniem. Z każdym dniem dodawało mi ono sił. Chwała Bogu!

Lecz wszystko jedno mocno się męczyłem. Pracownicy medyczni wcale nam nie pomagali. Zawsze było to, co mówił naczelnik – we wszystkim działała jego władza. A dla niego najważniejszym był plan. Wykonać go bez względu na cenę!

Przypominam pewien epizod. Jeden przy wyrębie się zbuntował. Szybko na miejsce incydentu na koniu przybył naczelnik. Wrzasnął: „Będziecie pracować?”. Odpowiedzieli: „Daj nam chleba”. „Ja wam głowy odrąbię!” – krzyczał wściekły. Lecz w odpowiedzi słyszał: „Nam trzeba chleba”.

Wtedy na rozkaz tego naczelnika dwóch żołnierzy chwytają jednego z więźniów, jeden koniec sznura przywiązują do konia, a drugi do szyi nieszczęśnika, i galopem przez pnie wykarczowanego lasu. Z człowieka zostały tylko kawałki.

Wraca z powrotem: „Będziecie pracować? Jeżeli nie, to powtórzmy procedurę”. Żałując swoich towarzyszy, wszyscy zaczęli pracować.

Pracując przy odbiorze sęczków, bardzo się męczyłem. Pewnego razu, gdy przyszliśmy do lasu, powiedziałem brygadziście: „Dziś nie mogę pracować. proszę, nie ruszaj mnie”. Lecz porządek obozowy był taki, że jeśli ktoś odmawiał pracować chociaż przez jeden dzień, to sądzą go drugi raz i dawali nowy wyrok. Lecz Bóg wpłynął na serce brygadzysty, a ten naradziwszy się z brygadą, zgodził się, dając pozwolenie na mój odpoczynek. Było to w grudniu 1945 roku zimą. Mróz był dwudziestostopniowy. Ja zaś byłem ubrany w waciak i stare walonki.

Odszedłszy na bok, pomodliłem się do Pana, a później ległem na śniegu i zasnąłem mocnym snem. Przespałem na jednym boku 8 godzin, nie trwożąc się. Przebudziłem się dokładnie w czasie schodzenia brygady z pracy. Chociaż spałem na śniegu, Pan miał w tym momencie przeznaczoną dla mnie ciepłą, białą i miękką pierzynę. I nie miałem po tym śnie ani temperatury, ani kaszlu – żadnego przeziębienia. Chwała Mu!

Po zakończeniu wojny pozostali wyrok o połowę skrócili. A później zupełnie uwolnili od strażników. Pracowaliśmy przy obozie, lecz po pracy mieliśmy też

możliwość zrobić coś i dla siebie.

Chodziliśmy po polach i zbieraliśmy „krochmal”. Kiedy na wiosnę ustępowały mrozy, na polach pozostawały zmarznięte ziemniaki. Na zewnątrz była łupina, a w środku surowa skrobia. Z ziemniaka wydobywał się nieprzyjemny zapach, lecz kiedy skrobię przemywało się w zimnej wodzie, a później mieszało się z solą, otrzymywało się dobre placki. Piekliśmy je bez soli i tłuszczu na gorącej płycie, i były one naszą radością.

Mieszkańcy wsi w większości byli pracownikami CZK, którzy mieli doświadczenie w znęcaniu się nad więźniami. Budowali sobie pojedyncze domy na nowiznie. A my, bracia, w wolnym czasie chodziliśmy do nich na zarobek. Karczowaliśmy pnie, grodziliśmy, kopaliśmy łąkę, budowaliśmy.

Za cztery godziny wytężonej pracy otrzymywaliśmy miskę zupy i 200 gramów chleba. Tak że cieszyliśmy się z tej możliwości.

Nie opuszczaliśmy też okazji, żeby głosić Słowo Boże. I wkrótce powstała grupa wierzących. Byli w niej prości ludzie, medycy i nauczyciele. Ileż było radości z tego, że my, więźniowie, niosąc dobrą nowinę, mogliśmy razem chwalić Boga, rozumiejąc jeden drugiego pomimo tego, że jeszcze wczoraj ci ludzie patrzyli na nas, jak na swoich nieprzyjaciół. Miłość Boża zjednuje nieprzyjaciół, usuwa przepaść między więźniami i obywatelami, tworząc zbór z żywych kamieni.

Suchobiezwodnoje – było to centrum kierowania wszystkimi obozami. Obozowe tory kolejowe ciągnęły się 110 kilometrów. Na tej długości było 30 żeńskich i męskich obozów. Były to obozy stalinowskie. Tutaj odbywali wyroki więźniowie z różnych krajów i wszystkich republik Związku Radzieckiego: Litwy, Łotwy, Estonii, Polski, Niemiec, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii. Tysiące braci i siostr w wierze zostało zebranych w tych obozach: Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie – jednym słowem, wszyscy.

Po pracy spędzaliśmy czas na rozmowach, modlitwach, podtrzymując jeden drugiego. Pan nas pocieszał i objawiał nam przyszłość. Chociaż setki naszych braci zostawiło życie swoje w tych obozach w męczarniach za prawdę Bożą, wielu pozostało żywych, zostali zachowani przez Pana i wrócili do swoich poprzednich miejsc zamieszkania, świadcząc o wszechpotężde naszego Pana. Naprawdę, Jego drogi są nieodgadnione!

Wszyscy powinniśmy dziękować Panu za to, że ci pionierzy przez moc Bożą i wierność swoją przetrarli drogę dla ewangelii w różnych krajach i okręgach. Już wtedy powstały mosty do przyszłej ewangelizacji.

Oczywiście, że tego wszystkiego nie można było ukryć i kierownictwo obozowe wiedziało o wszystkim. Żony niektórych oficerów nawróciły się do Pana. To samo wydarzyło się w życiu niektórych strażników, którzy oddali swoją broń i odmówili pilnowania więźniów.

Nieraz rozganiali nas naczelnicy, lecz Bóg ochraniał ten młody zbór, żeby krzepł, wzrastał duchowo. Dzięki Bogu zbór rósł i wkrótce 35 osób przyjęło wodny chrzest wiary.

Dla Słowa Bożego nie ma więzów. Nasi prześladowcy ujrzeli w nas światłość Chrystusową i radykalnie zmienili swój stosunek do nas. W latach 1947-48 naszych braci wysyłano do pracy na wiodące odcinki pracy – na liniach kolejowych, w transporcie, bazach, w zaopatrzeniu, zakładach zbiorowego żywienia, pracach polowych. Podobnie jak Józef, który został sprzedany jako niewolnik do Egiptu,

lecz który później stał się jednym z rządzących, wszystkie podstawowe dziedziny gospodarcze były w rękach chrześcijan. Lecz niezależnie od wielkości wykonywanych prac, nie płacono nam pieniędzy – wszystko szło na konto państwa.

Od 1949 roku zaczęto nas zwalniać z więzienia, lecz na drogę żadnych środków nie dawano, tylko wypisywano bilet do miejsca powrotu i wydawano prowiant na drogę. Wszystkim proponowano pracę najemną. I niektórzy zostawali, żeby zarobić pieniądze na ubranie, inni zaś wyjeżdżali do domu w obozowym ubraniu.

Wioska Suchobieżwodnoje ma swoją historię. Jest to byłe centrum kierownictwa UNŻŁAG. Po kolektywizacji do tego rejonu wywożono do lasu wieśniaków i zostawiano tam na pastwę losu. Przed naszym przyjazdem w tych okolicach zginęło tysiące ludzi z głodu i zimna. Tak że wioska została zbudowana na ludzkich kościach.

W 1947 roku pracowałem w brygadzie budowlanej. Każdy obiekt zaczynało od ręcznej pracy. Zimą i latem łopatami ryliśmy wykopy pod fundamenty i nieraz wykopywaliśmy ludzkie czaszki i kości. I dziś jeszcze stoją historyczne budowle – pomniki darmowej pracy: punkt łączności, szpital, szkoła-internat, hotel, apteka, domy piętrowe, mieszkania komunalne, wille dla arystokracji itd. Do tego wszystkiego więźniowie przyłożyli swoje ręce. W większości budowano z surowego drewna, które wnosili na piętra na swoich plecach. Zimą były częste przypadki okaleczenia lub śmierci. Zimą, jeżeli zrywały się zmrożone belki podczas przenoszenia, to leciały w dół jako 200 kilogramowy, śmiertelny ciężar, wszystko krusząc po drodze.

Raz leciałem pod belką około sześciu metrów głową w dół, lecz dzięki Bogu pozostałem żywy i zdrowy.

23 listopada 1949 roku zostałem zwolniony z obozu. Zdecydowałem się zostać, żeby zarobić na ubranie. Dlatego urządziłem się w tartaku.

W każdą niedzielę u pewnej siostry odbywały się nabożeństwa. Ten zbor był dla mnie jak rodzinny. Wszyscy bracia po uwolnieniu wyjechali, zostałem ja i nowonawróceni, miejscowi. gdy po jakimś czasie zdecydowałem się opuścić wioskę, zaczęli płakać i namawiać, żebym został. Oświadczyli mi, że będą się modlić, żeby Pan zostawił mnie tutaj. I po Bożym objawieniu, nie mogłem się sprzeciwić i postanowiłem zostać. A wkrótce całkowicie zdecydowałem się tu zamieszkać.

W ciągu roku odwiedzaliśmy inne miejsca, a grupy chrześcijańskie zaczęły powstawać wokół.

12. Znowu aresztowanie

„Że jednak ze świata nie jesteście, ale Ja was wybrałem, dlatego was świat nienawidzi” (J.15:19).

7 listopada 1950 roku znowu mnie aresztowano, a razem ze mną zabrano jeszcze pięciu braci i dwie siostry. Przyczyna była taka, że dla bezbożników powstanie zboru wśród duchowej pustyni było zbyt dużym wstrząsem. Pracownicy bezpieczeństwa podjęli decyzję, żeby bez względu na cenę – zagasić Boże dzieło we wsi.

Zebrano nas wszystkich w domu kultury, gdzie zrobiono publiczny sąd pokazowy. Miesiąc przed sądem pracownicy ateistycznej ideologii bardzo pracowali, przygotowując opinię publiczną, żeby wszyscy wystąpili przeciwko nam z oskarżeniami pod naszym adresem, jakie można było tylko wymyślić.

Było dziwnym dla mnie to, że niektórzy mieszkańcy wsi, którzy odnosili się do nas dobrze i nawet przychodzili na nabożeństwa, obrócili się przeciwko nam po takiej obróbce ich umysłów i na sądzie zaczęli obmawiać nas.

Ich świadectwa były następującego rodzaju: byliśmy u nich na nabożeństwach – to szpieczy amerykańscy i mają związek z zagranicznymi służbami. To szpieczy CIA, oni ludzi na ofiary składają, to reakcyoniści i szkoda, że jedzą chleb radziecki, należy ich rozstrzelać itd.

Wśród występujących byli przedstawiciele inteligencji, lekarze, nauczyciele, wykładowcy ze szkół zawodowych, dyrektorzy przedsiębiorstw. Wszyscy oni krzyczeli o jednej zemście w stosunku do nas. Ktoś proponował, żeby wysłać nas do Niemiec Zachodnich, inni zaś żądali, żeby wysłać na Nową Ziemię lub ziemię Franciszka Józefa. Cały proces sądowy transmitowano przez radio okręgowe. Materiały z niego publikowały gazety.

Nikomu z nas nie udzielono głosu do obrony prawdy, dawano tylko tym, którzy chcieli wyrzec się Boga.

Po pięcie dniach od tego, gdy sędziowie poszli na naradę, zostało ogłoszone postanowienie o obowiązkowym oddaniu literatury chrześcijańskiej organom milicji. W razie odmowy miano utworzyć komisję z przedstawicieli władzy w celu przeprowadzenia rewizji i założenia każdemu indywidualnej sprawy.

Nie jest dziwnym, że podczas krzyżowania Jezusa Chrystusa tłum krzyczał: Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj!”, nie wiedząc, co w danej chwili mieli robić. Na pewno, że bez wiary w Boga książe tego świata ma moc wypaczać ludzkie umysły.

Po zakończeniu sądu zaczęliśmy się modlić. Dziękowaliśmy Panu za wszystko i prosiliśmy o mądrość: jak mamy postąpić w tej sytuacji – i Bóg pouczył nas.

Podjęliśmy decyzję – nie oddawać literatury, gdyż mieliśmy ją od Pana. Lecz później wyrok sądu publicznego został zapomniany i zostawiono nas na jakiś czas w spokoju.

Ale 7 listopada do mnie do domu o 9 godzinie rano przyszedł naczelnik milicji. W tym czasie razem z żoną jedliśmy śniadanie. I oto przed stołem stoi przedstawiciel władzy – w rękach papier. Odczytuje decyzję prokuratora o aresztowaniu.

Na pytanie o przyczynę aresztowania naczelnik odpowiedział, że jego sprawą jest doprowadzić mnie do prokuratury okręgowej. Ścisnęło w gardle. Nic nie mó-

witem. Żona wzięła bliźnięta, syna i córkę, które urodziły się miesiąc przedtem, położyła je na łóżku i zaczęła szlochać. Z wielki trudem udało się mi ją uspokoić. Sam nie płakałem.

Milicja przeprowadziła dokładną rewizję, lecz prócz Biblii niczego kompromitującego nie znaleźli. Biblie skonfiskowali, podpisali protokół z obecności świadka podczas rewizji.

Dano mi dwadzieścia minut na pozbieranie się i później wyprowadzono z domu. Po tygodniu od tych wydarzeń w gazecie ukazał się artykuł, podpisany przez naczelnika milicji. Jego treść była następująca: „7 Listopada został aresztowany amerykański szpieg (dalej moje nazwisko). Podczas przeszukania zatrzymano nadajnik radiowy, przez który trwała systematyczna łączność z CIA...” itd. Po aresztowaniu nas, dwudziestu braci i sióstr, zawieziono do Gorkij. Umieszczono nas w areszcie śledczym imienia Woroblewa, tak zwanym „Worobiewka”. Wszystkich umieszczono w celach pojedynczych. Mnie umieszczono w celi piwnicznej.

Pierwsza noc w areszcie minęła spokojnie, ale już następna, od 21.00 do 6.00 – na niekończącym się przesłuchaniu, które prowadził major Kiriuszyn. W ciągu tej nocy doświadczony śledczy KGB zbierał na mnie materiał oskarżenia, składający się z samych kłamstw.

Przypisywano mi następującą winę: występowałem wśród robotników zakładu, rozgłaszając, że w Rosji carskiej było łatwiej żyć klasie robotniczej. Odciałem się od tego, argumentując następującymi faktami: urodziłem się w 1926 roku, a carska władza upadła w 1917 roku. Do czasu moich narodzin minęło 9 lat. W związku z tym powstaje pytanie, jak mogłem mówić i twierdzić to, czego nigdy nie widziałem i nie znałem? Lecz śledczy mi powiedział: „Podpisesz czy nie, twoja sytuacja się nie zmieni. Znajdziemy człowieka, który potwierdzi i podpisze. A ty tylko pogorszysz swoją sytuację. Zaś o wolności zapomnij. U nas nie takie ptaszki były, jak ty, o wolności nawet nie marzyli”. Tak było. A moja sytuacja rzeczywiście pogorszyła się z powodu odmowy oczerniania siebie.

Wróciłem do celi o szóstej rano. W celi było zimno. Grubość ściany więziennej – metr dwadzieścia centymetrów. Od ulicy nad okienkiem zawieszony był metalowy okap, to po to, żeby więźniowie nie mogli widzieć błękitnego nieba. Dalej były metalowe kraty, a za nimi rama okienna. Wewnątrz celi na okienku była metalowa siatka, składająca się z dwóch skrzydeł, zamykanych na kłódkę. Oto tę siatkę otworzył dyżurny. Do celi zaczęło przenikać zimne powietrze. Ubranie wierzchnie zabrali. Zostałem tylko w jednej koszuli. I to przy otwartym oknie w zimny czas.

Na drugą noc czekało mnie kolejne przesłuchanie. Przywitani mnie pytaniem: „No, przypominałeś, jak prowadziłeś antyradziecką agitację?”. Wyraźnie liczone na to, że po długim przebywaniu w lodowatej celi, cokolwiek „przypomnę” na siebie.

Zacząłem fabrykować jeszcze jedno kłamstwo, że w swoich kazaniach podczas nabożeństw wzywałem do obalenia władzy radzieckiej, żeby nie płacić podatków państwu, nie wstępować do związków zawodowych, mówiąc, że jest to władza „antychrysta”, przeciwko której trzeba prowadzić walkę. Odrzucałem to, mówiłem, że Jezus Chrystus jako założyciel chrześcijaństwa nigdy nie wzywał do obalenia politycznego systemu. Na podstępne pytanie uczonych w Piśmie i faryzeuszów, próbujących przyłapać Go na tym samym, o co oskarża się mnie – „Czy należy

płacić podatek cesarzowi?” – Chrystus poprosił, aby przynieśli denara i zapytał swoich oskarżycieli o to, czyj wizerunek jest na monecie. Gdy faryzeusze powiedzieli, że jest to podobizna cesarza, Jezus powiedział: „Tak więc, oddajcie cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co Boskie”. Jezus uczył też, żeby miłować nieprzyjaciół, czynić dobro tym, którzy nienawidzą nas, błogosławić przeklinających nas i modlić się za krzywdzących nas. I wtedy będziemy synami naszego Ojca Niebieskiego. Chrystus mówił o wewnętrznym narodzeniu człowieka. Mówił On: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni”. Czym zaś spracowani i czym obciążeni? Obciążeni grzechami, wadami, gnieżdżącymi się w wewnętrznym człowieku. „A Ja wam dam ukojenie. Weźcie na siebie moje jarzmo i uccie się ode mnie, że jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych”. Tego On uczył, a nie tego, żeby nastawiać Swoich uczniów przeciwko panującym i władzom.

To właśnie głosiłem i tego uczyłem. Lecz na wszystkie moje dowody śledczy odpowiedział, że postara się znaleźć człowieka, który potwierdzi i podpisze wszystkie oskarżenia.

Pracownicy KGB mieli dużą wprawę w dziedzinie falsyfikacji. Podczas śledztwa pokazali mi notatkę jednego z moich braci w wierze. To rzeczywiście wyglądało na jego pismo. Lecz w notatce było tyle oszczerstw na mnie, że jeśli uznać ten dobry falsyfikat za prawdę, to będzie równoznaczne z tym, że obmówiłem brata w wierze.

Ta metoda pracy śledczych nazywała się „wybieraniem gorących węgli cudzymi rękami”. Liczenie na niedoświadczenie człowieka, który złoży się na krzywdziela, który oczernia go, i sam zaczyna fałszywie świadczyć mszcząc się. Jeżeli ta pułapka się udaje, to pozostaje tylko ręce zacierać. Lecz jeśli ten trik nie przechodzi, wtedy znowu terror, zimne cele, fizyczne znęcanie się, co też zaczęto ze mną czynić podczas śledztwa.

Jeszcze jedna represyjna metoda ich pracy polegała na tym, żeby każdym sposobem, „jak nie kijem, to pałką”, opracować grupowe oskarżenie. Zainteresowanie śledczych skierowane było na to, że podczas sądu przy grupowym oskarżeniu zasądzany był podwójny wyrok. Ich nienawiść do chrześcijaństwa jako do czegoś odżywiającego, pobudzała ich do pójścia takimi drogami.

Trzecie przesłuchanie. „Kogo znasz? Z kim spotykałeś się? W jakim kościele byłeś? Kto tam jest prezbiterem? Gdzie zbieraliście się? Kto mówił kazania? Na jakie tematy? Gdzie odbywał się chrzest wodny? Kto chrzczył?...”

Lecz „chwałą Bożą jest rzecz ukryć, a chwałą królów rzecz zbadać” (Prz. 25:2).

Śledczy bardzo chciał, żebym wydał jak najwięcej swoich braci i tym samym pomógł prokuratorowi doprowadzić do ich aresztowania. Domyśliłem się tego i się modliłem: „Panie, pomóż postąpić mądrze”.

Gdy śledczy przekonał się, że ode mnie nic nie wydobędzie, że rozmowy ze mną są daremne, wtedy postanowił poznęcać się do woli. Przez cały miesiąc trzymał mnie w zimnej pojedynce i cały ten miesiąc nie dawał mi możliwości spania – od 10 wieczorem do 6 rano miałem przesłuchania.

W dzień nie było możliwości spania. Chodzenie do przodu i z powrotem, siedzenie na taborecie było dozwolone. Lecz dyżurny ciągle kontrolował zachowanie więźnia przez „judasza”. Jeżeli zasypiasz na taborecie, to on, widząc to, przekre-

ca klucz w zamku, a wmontowane urządzenie wydaje przenikliwe wycie. Fizycznie coś takiego można ledwo wytrzymać. Od podobnej „muzyki” można stać się chorym psychicznie. Lecz dziękuję mojemu Bogu, że On pomógł mi, żebym został normalnym.

Kolejne przesłuchanie. Śledczy stanął przede mną, milcząc łypie oczami. A ja pytam: „Co patrzysz? Myślisz, że zwariuję? Na próżno fatygujesz się. Pan nie dopuści do tego”.

Przeciwko Synowi Bożemu, kiedy nie mogli znaleźć powodu, żeby oskarżyć, postawili fałszywych świadków. Tę samą metodę wykorzystuje się i w naszych złych czasach przeciwko dzieciom Bożym.

Przypominam, gdy kiedyś na naszych nabożeństwach zaczął pojawiać się pewien podejrzany brat. Zarzekął się, że szuka pracy, chce się tu urządzić, żeby żyć. Pewna starsza siostra zaproponowała mu swój pokój. Wykorzystując okazję, zdążył zapisać adresy wszystkich braci, nawet zebrał fotografie.

Raz postanowiliśmy sprawdzić brata. Niedaleko od nas mieszkał jeden milicjant, który miał z nami dobre stosunki. Poprosiliśmy go o mundur i przebraliśmy w niego jednego z braci, który przyszedł nocą w gości do „badanego”. W rezultacie tego pożytecznego sprawdzianu wyjaśniło się, że ten człowiek jest z Moskwy i zwerbowany został przez organy bezpieczeństwa, chociaż wcześniej był wierzącym.

Lecz jeżeli KGB nie ma swoich ludzi w chrześcijańskiej społeczności, oni wszystko jedno mają sposoby, żeby zrobić sprawę karną dla chrześcijan. Mój śledczy przekonał mnie o tym, że moje oskarżenia potwierdzą i podpiszą inni.

Na pierwsze oskarżenie znaleźli pewnego pijaka z zakładu pracy, który na konfrontacji potwierdził wszystko, o co prosił go śledczy. (Prawda, przy tym nie mógł patrzeć mi w oczy i robił swoją czarną robotę, wbiwszy oczy w podłogę).

Na drugie oskarżenie znalazł się jeszcze jeden „świadek”. I już tego, co na mnie nagadał, było wystarczająco, żeby dać mi wyrok 25 lat pozbawienia wolności. Sprawa została podciągnięta pod 206 paragraf kodeksu karnego i przeniesiono mnie do celi ogólnej, gdzie mogłem spokojnie spać.

Karmili nas bardzo źle: tak, żeby tylko nie umrzeć. Po paru dniach znowu wzywa mnie śledczy. No, myślę, czyżby wszystko od początku? Lecz na miejscu śledczego, który zawsze siedział w mundurze majora, wita mnie trzech w cywilu. Jeden z nich zadaje pytanie, czy kocham żonę? Odpowiedziałem, że na takie pytanie nie ma sensu odpowiadać. „Jaki jesteś dumny” – szyderczo powiedział drugi w cywilu. Ja zaś powiedziałem: „Zamierzmy się miejscami. Gdybym zaczęła zadawać wam takie pytania, jak byście mi odpowiedzieli?”.

Później dowiedziałem się, że rozmawiałem z naczelnikiem KGB i jego zastępcą. Bez większego wahania zaczął wyjaśniać cel swojej wizyty: „Przyszliśmy, żeby zaproponować co wolność. Damy mieszkanie, przewieziemy rodzinę. Będziesz mieszkać w mieście, jeździć po zborach. Ale będziesz naszym człowiekiem”.

„A jak będzie z oskarżeniami na mnie?” – pytam się go. I słyszę w odpowiedzi: „Wszystko w naszych rękach”. Powiedziałem na to: „To, co proponujecie – jest największym szyderstwem z chrześcijańskich zasad. Proponujecie mi, żebym stał się szmatą, którą gospodyni wyciera brud i później wyrzuca. Tego nigdy nie będzie”.

„No cóż, będziesz siedzieć 25 lat” - mówi naczelnik KGB. „Tak, będę! Za to sumienie pozostanie czyste przed Bogiem i przed ludźmi” – odpowiedziałem mu na koniec.

13. Sąd

*„Lecz wy obróciliście prawo w truciznę, a owoc sprawiedliwości w piołun”
(Am.6:12).*

Śledczy major Kiriuszyn jako profesjonalista w swoim zawodzie, w końcu osiągnął to, czego chciał. Mnie, moim braciom i siostram dano 58 paragraf, punkt 258-11. Z nas, chrześcijan, zrobiono politycznych przestępców. Politycznych... Połowa z nas miała tylko trzy klasy wykształcenia.

Od aresztowania do sądu śledztwo trwało trzy miesiące. Skład sędziowski zjawiał się w pełnym składzie: sekretarz, sędzia, prokurator, ławnicy i adwokat, o obecność którego nie prosiliśmy. Co jest dziwne, wbrew prawu sądowniczemu, obecny był nasz śledczy, major Kiriuszyn.

Sąd nawet nie zabrał się do rozpatrzenia naszej sprawy. Kierowano się tylko materiałami ze śledztwa. Zaś na protesty nie przywykli tu reagować.

Sąd trwał cztery dni. Adwokat właściwie bronił nie nas, ale wystąpienie prokuratora, dlatego zupełnie nie było zrozumiałe, do czyjej obrony był on powołany.

W ostatnim słowie, które dano nam, poprosiłem, żeby sąd rozpatrzył na nowo moją sprawę, gdyż w protokołach przesłuchań nie ma ani joty prawdy. Na to sędzia odpowiedział: „Nie ma takiej potrzeby. Jesteśmy i tak przekonani, że jesteście wrogami władzy radzieckiej”.

Sąd poszedł na naradę. Po półgodzinnej naradzie zostaje ogłoszony wyrok: „W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich...”. Wszyscy otrzymali najwyższy wymiar kary, lecz kierując się jakimś paragrafem z kodeksu o zamianie kary śmierci, postanowiono zamienić karę na 25 lat pozbawienia wolności w obozie o zastrzonym rygorze z całkowitą konfiskatą mienia. Sprawa została zamknięta z napisem „Całkowicie tajne” i „Nie podlega ulaskawieniu”.

Gdy nam odczytano wyrok, strażnicy wyprowadzili nas. Nie pozwolono spotkać się z krewnymi i przyjaciółmi, którzy tłoczyli się w korytarzu budynku przez cztery doby trwania procesu. Nie pozwolono przekazać nam nawet kawałka chleba.

Według nakazu sądu przewieziono nas z aresztu śledczego do więzienia i wszystkich umieszczono w różnych celach. Mnie umieszczono w ogólnej celi, w której „gościło” już 12 złodziei.

Boża ręka była ze mną i tutaj. Po zapoznaniu się i osobistych rozmowach jeden z przestępców upamiętał się i przyjął Jezusa Chrystusa jako swojego osobistego Zbawiciela. Mieliśmy możliwość przeprowadzenia wielu szczerych rozmów i modlenia się.

Najbardziej dręczył nas głód. Karmiono nas bardzo źle. Jak wyjaśniło się później, kierownictwo więzienia naszym prowiantem karmiło świnię, których mięsem potem dzielili się między sobą. Nasza cela była przedostatnia w bloku. Dyżurny,

rozdający obiad, rozdawał jedzenie po celach w taki sposób, żeby po ostatnim rozdaniu w beczce jeszcze coś zostało.

Modliłem się, a Pan pouczył mnie, jak należy postępować. Pewnego razu podczas obiadu zgniotłem miskę, żeby przechodziła przez drzwi, a kiedy odszedł dyżurny, poprosiłem cichym głosem: „Obywatelu naczelniku, zupy w beczce jeszcze zostało. Proszę, nalejcie nam”. Zamknął „koryto” i odszedł, lecz po dwóch minutach słyszę brzęk beczki za drzwiami. Znowu otworzył „koryto” i mówi: „Dawajcie wasze miski”.

Ciesząc się, jedliśmy. Chwała Bogu! Serce króla – w Jego rękę. Tak powtarzało się parę razy, a ja świadczyłem złodziejom, że to wszystko od Pana. Ale znalazł się jeden, który zaczął spierać się ze mną: „Myślisz, że to wszystko od Boga? A ja mogę poprosić bez Boga i mi nie odmówią”. Umówiliśmy się, że ja więcej nie będę prosił, a spróbuje on. W celi zaczęli oczekiwać, co z tego wyjdzie. Następnego dnia złodziej poprosił dyżurnego o dokładkę, a w odpowiedzi otrzymał: „Powiedz dziękuję państwu, że ono ciebie w ogóle karmi. Za twoje sprawy powinieneś umrzeć z głodu”. Trzasnął „korytem” i poszedł.

Milczałem. A jego przyjaciele napadli na niego: „No, co? Dostałeś dolewkę?”.

Minęło parę dni. A głód swoje bierze, brzuch spada. I oto do mnie zwracają się współwięźniowie: „Filipie Gawriłowiczu, poproś jeszcze”. Wtedy zaproponowałem im: „Módlmy się wszyscy razem i prośmy Boga, żeby On zmiłował się i usposobił serce dyżurnego, aby nakarmił nas”. Usłuchali. I Bóg posłał nam to, co prosiliśmy, kiedy znowu zwróciłem się do dyżurnego. Po tym wydarzeniu nie powstawały spory, skąd mamy jedzenie. Nikt nie wątpił.

Póki byłem w więzieniu, nie smuciłem się i nie tęskniłem, chociaż okoliczności wokół mnie i moich bliźnich nie były pomyślne. Po ogłoszeniu wyroku sądowego do mojego mieszkania przyszli urzędnicy i całe mienie skonfiskowali, a moją żonę z dwojgiem dzieci wygnali na ulicę – idź dokąd chcesz. Było to w styczniu. Lecz niedaleko była wieś, gdzie mieszkała jej matka. Tam też została przygarnięta.

W tym czasie w radzieckim prawie był paragraf, który zabraniał wszelkiego rodzaju działalności dobroczynnej. Lecz Bóg usposabiał serca ludzkie i pomagali mojej żonie, ktoś finansowo, ktoś chlebem lub mlekiem. W tym ciężkim czasie Bóg dał wszystko, co konieczne.

Będąc w celi często śpiewałem.

Gdy śpiewałem, dyżurny wezwał mnie do drzwi i poprosił, żebym nie śpiewał. Ale najpierw wysłuchał wszystkiego do końca, a dopiero później zabronił. Słuchał. Oznacza to, że w jego sercu coś było.

Nieszczęśni, zniewoleni przez złego ducha tego świata! Zwracam się dziś do was, moich byłych śledczych – do majora Kiriuszyna i kapitana Kołgarewa! Jeśli jeszcze żyjecie, odezwijcie się. Dawno wybaczyłem całe wasze bezprawie. Bardzo pragnę was widzieć przy okrągłym stole i opowiedzieć o miłości Bożej do was. I On wam wszystko odpuści przy waszym szczerym upamiętaniu. Jestem przekonany, że sumienie wasze gryzie was za to wszystko dniem i nocą. Lecz dziękuję Bogu za moje cierpienia, gdyż one pozwoliły mi prawidłowo zrozumieć, co to jest praca pastora. „Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu z tymi, którzy Boga miłują, to jest z tymi, którzy według postanowienia jego są powołani”.

W więzieniu pod numerem jeden, który znajduje się przy Arzamasskiej szosie, przetrzymali nas trzy miesiące, zanim z GUŁAG-u nie przyszła decyzja – dokąd

nas skierować.

Do mojej celi posadzili byłego oficera ze szczególnego rodzaju wojsk. Był operatorem filmowym. Podczas odwrotu Niemców temu oficerowi rozkazano, żeby podpalił rosnącą pszenicę, aby sfilmować. Po jakimś czasie ukazał się film, mówiący o tym, jak niemieccy okupanci podczas odwrotu palili obsiane pola, żeby nic nie dostało się Rosjanom. Kiedy ten oficer obejrzał film, jego serce nie wytrzymało i wykrzyknął: „Przecież my sami paliliśmy, a na Niemców zwalamy!”. Nie jest trudno domyślić się, że bardzo szybko zabrały go organa bezpieczeństwa, oskarżając o obmowę radzieckiej rzeczywistości. Dali mu 15 lat obozu.

Po otrzymaniu przydziału wyprawiono nas do Mordowii, do miejscowości niedaleko Saranska – na stację Potma, gdzie były tak zwane Teminkowskie obozy o najbardziej zaostrzonym rygorze. Tutaj trzymano więźniów politycznych.

Obóz numer 11, gdzie nas osadzono, był otoczony ogrodzeniami. Jedno z nich drewniane, wysokie sześć metrów. Obóz otoczony był trzema rzędami drutów kolczastych na zewnątrz i trzema od środka. Na zewnątrz przechodził wąski korytarz, gdzie biegały wzdłuż drutów owczarki.

Wyraźnie słyszeliśmy, gdy wartownicy podczas zdawania służby, meldując swojemu dowódcy, nazywali to miejsce posterunkiem numer trzy, pilnującym wrogów ludu.

Kim byli tak zwani wrogowie ludu? Byli to ludzie wierzący z najróżniejszych denominacji, a także kołchoźnicy, robotnicy zakładów pracy, lekarze, muzycy, artyści, inteligencja.

W czasach stalinowskich działań dokładnie zorganizowany system donosów. W każdej sferze społecznej na każdym trzech był jeden donosiciel. Za donosy ten ostatni dobrze był wynagradzany przez swoich „orędowników”: miał lepszą pracę, wyższe wynagrodzenie, szybko otrzymywał mieszkanie itd. Na tę przynętę brało się bardzo wielu prostych ludzi. Żeby polepszyć swoją socjalną i materialną sytuację, szli na podobne układy z organami bezpieczeństwa. Z tego powodu Rosjanie byli nerwowi i podnieceni, bo nikt nie był pewny, kto jest z tobą: przyjaciel czy zdrajca. W rezultacie takiej polityki miliony ludzi znalazło się za kratami.

14. W obozie

„Pan da siłę ludowi swemu” (Ps.29:11).

W kwietniu 1951 roku przewieziono nas do obozu, gdzie mieliśmy odbywać wyroki. Dziesięć dni, jak wymagano, przetrzymano nas na kwarantannie. Później wydano nam bieliznę, spodnie, piżamę, czapkę, buty i waciak. Na czapce, plecach, klatce piersiowej i na prawym kolanie przyszyli z żółtego materiału koła, na których tłustymi, czarnymi literami były napisane seria i numer sprawy.

Rozdzielono nas po brygadach. Więźniowie byli zatrudnieni przy dwóch rodzajach pracy: jedna brygada pracowała przy wydobywaniu torfu, druga zajmowała się produkcją mebli – i do niej zostałem skierowany. Każdy barak był podzielony na 4 sekcje, w których było 120 więźniów. Na oknach były żelazne kraty, na drzwiach wisiała więzienna kłódka. W rogu stała beczka „kibla”. Śniadanie przy-

noszono do baraku, a my jedliśmy nie patrząc na ciągły ciężki zapach, pochodzący z „kibla”.

Bardzo dokładnie nas pilnowano. Do pracy wychodziliśmy w zwartym szyku, a z pracy znowu prowadzili pod kłódkę. Widzenia z krewnymi były zabronione, lecz można było napisać dwa listy w roku.

Przy wykonanej normie wydawano 600 gramów chleba dziennie, zupeł i 200 gramów kaszy owsianej. Gdy nie wykonano normy – zabierali chleb i kaszę. Pracowaliśmy po 12 godzin na dobę bez przerw.

W obozie spotkaliśmy braci w wierze z różnych obwodów, krajów, republik.

Każdego wieczoru przed capstrykiem zganiali nas na plac do wieczornego apelu. Liczyli i przeliczali nas przez 2-3 godziny, sprawdzając naszą cierpliwość, nie patrząc na mróz, śnieg czy deszcz. Jeśli ktoś nie wytrzymał i zaczynał głośno narzekać, tego „schładzali” kajdankami i pięcioma dniami w BUR-ie, zimnej celi betonowej, w której zostawiali bez wierzchniego ubrania z dobowym prowiantem 200 gramów chleba i kubkiem wody. W ten sposób niezadowolonych wychowywano na zadowolonych.

Zdecydowanie postanowiłem, że niedziele będę poświęcał Panu i że nie będę wychodził do pracy. W pierwszą niedzielę, gdy odmówiłem pójścia do pracy, zaprowadzono mnie do naczelnika obozu. Na jego pytanie, dlaczego odmawiam pójścia do pracy, odpowiedziałem, że w Biblii jest napisane, że należy sześć dni załatwiać swoje sprawy, a siódmy dzień należy do Pana. Naczelnik wiedział, że siedzę za wiarę i bardzo rozżłościł się, gdy zacząłem mówić ze Słowa. Dał mi za to pięć dni karceru.

W piątek wyszedłem z karceru, a w sobotę poszedłem do pracy. Lecz w niedzielę czekało już to samo – nie poszedłem do pracy i karcer. Pięć razy przechodziłem przez pięciodobowe areszty, gdzie trzymali na chlebie i wodzie. Za piątym razem naczelnik obozu odwiedził mnie, chcąc wyjaśnić, jak długo zamierzam męczyć siebie. Powiedziałem mu: „To wy mnie męczycie. Zrozumcie, że przed Bogiem i przed wami jednoznacznie powiedziałem, że w niedzielę pracować nie będę. Jeżeli zmienię na wasze żądanie swoją decyzję, to przed wami będę wyglądał jak gaduła, a przed Bogiem – zdrajca. Lepiej mi umrzeć niż dopuścić do ostatniego”.

Wysłuchawszy mnie, naczelnik obozu powiedział naczelnikowi rygoru, żeby zostawili mnie i więcej nie ruszali w związku z tym, że nie wychodziłem do pracy w niedzielę. Od tego czasu niedziela stała się dla mnie nie tylko dniem odpoczynku, lecz i dniem służby dla Pana. Z łaski Bożej za drutami kolczastymi w moich rękach znalazła się Biblia i robiłem nabożeństwa w jednym z kątów mieszkalnej strefy. Zawierały one czytanie Biblii cichym głosem, uwielbianie Pana, modlitwy o siebie, braci, o cały otaczający świat.

Duch Święty pocieszał serce moje, pouczając mnie, a to miejsce stało się dla mnie tym, czym stał się Betel (Dom Boży) dla Jakuba, gdy zobaczył we śnie „cudowną drabinę”. Ja tak samo jak Jakub, mogłem wykrzykiwać: „Zaprawdę, Pan jest na tym miejscu, a ja nie wiedziałem” (1M.28:16).

15. Pokuszenie

„Poczytujcie to sobie za najwyższą radość, bracia moi, gdy rozmaite próby przechodzicie, wiedząc, że doświadczenie wiary waszej sprawia wytrwałość” (Jk.1:2-3).

Podczas jednego z niedzielnych nabożeństw, które odprawiałem w nowym „domu modlitwy”, odkryłem, że chcąc się modlić, wcale nie przychodzą słowa do modlitwy. Zacząłem rozsądzać, w czym rzecz? Jakaś ciemność uciska moją głowę, mój rozum i nie mogę zorientować się w przyczynie tego. Postanowiłem poczytać Biblię. Lecz patrząc na pierwszą stronę, którą otworzyłem do czytania, dochodzę do wniosku, że to wszystko już dobrze znam. Przekładam kartki Biblii i widzę, że te rozdziały już setki razy czytałem i znam to wszystko na pamięć. Wtedy, zamknąwszy Biblię, odłożyłem ją. „Wszystko wiem. Jestem doskonałym człowiekiem...”.

To jego głos. Kiedyś na pustyni przekonywał Jezusa, żeby z kamieni uczynił chleb. I dla mnie kusiciel przygotował piosenkę: „Co za pożytek z tego, że tu jesteś? Gdybyś na wolności był, mógłbyś dużo zrobić. Masz wspaniałą możliwość – wyrzeknij się swoich przekonań. A jeśli uważasz to za grzech, to przypomnij, że Jezus odpuścił Piotrowi jego zaparcie się. Wiesz, że On jest miłosierny, odpuści i tobie”.

Na wolności lubiłem chwalić Pana pieśnią. Mogłem śpiewać drugim głosem. Lubiłem też głosić nie tylko innym, ale i sobie. Prorok Izajasz był dla mnie przykładem stosunków z Panem i podobnie jak uczeń, od wczesnego rana nastawiałem ucho swoje – co mi Pan powie, podając rękę opadniętemu z sił... Ale to był inny głos.

Westchnąłem. Uniosłem ku niebu oczy i zobaczyłem lecącego kruka, kawkę, srokę i wróble. I znowu głos złego: „Pomyśl! Ptaki fruują w przestrzeni, dla nich nie ma płotów. A przecież jest napisane, że jesteś lepszy od tych ptaków. Gdzie zaś lepszy, jeśli siedzisz za płotem?”.

Diabłowi udało się w Edenie zasiać nieufność do Słowa Bożego. I dziś jego celem jest sianie zwątpienia w naszych umysłach. Będąc młodym, lubiłem czytać Słowo Boże. Ono i tylko ono jest lampą naszą, jaśniejącą w ciemnych miejscach.

Podczas rozmyślenia nad Pismem Duch Święty przywiódł mi na pamięć miejsce z Biblii, z księgi proroka Jeremiasza (15:15-21), gdzie ukazana została słabość proroka w tym, że on jakby widział Boga w tych okolicznościach, które powstały wokół Jeremiasza. Na to mu Pan odpowiada, że on, Jeremiasz, jest na nieprawidłowej drodze: „Jeżeli zawrócisz, i Ja się zwrócę do ciebie, i będziesz mógł stać przed moim obliczem; a gdy dasz z siebie to, co cenne, bez tego, co pospolite, będziesz moimi ustami” (Jr.15:19). Lecz oczywiście Jeremiasz nie wszystko zrozumiał z tego, co mówił do niego Pan, i wtedy Bóg powiedział: „Wstań i zjądź do domu garncarza, a tam objawię ci moje słowa. I wstąpiłem do domu garncarza, a oto on pracował w swoim warsztacie. A gdy naczynie, które robił ręcznie z gliny, nie udało się - wtedy zaczął z niej robić inne naczynie, jak garncarzowi wydawało się, że powinno być zrobione. I doszło mnie słowo Pana tej treści: Czy nie mogę postąpić z wami... jak garncarz? – mówi Pan. Oto jak gli-

na w ręku garncarza, tak wy jesteście w moim ręku..." (Jr.18:3-6).

Przeczytawszy te słowa z Pisma, stało mi się jasne, dlaczego Pan prowadzi mnie taką nietatwą drogą. Wtedy nisko pochyliłem się i odpowiedziałem diabłowi wielokrotnym „nie” – a pokój wypełnił moje serce i podziękowałem Bogu za lekcje, które mi dawał.

16. Z ostatnich sił

*„Gdy drogi człowieka podobają się Panu, wtedy
godzi On z nim nawet jego nieprzyjaciół”
(Prz.16:7).*

W każdym człowieku są i działają dwa zakony: zakon ducha i zakon ciała. Duch ludzki zawsze jest waleczny, lecz ciało – słabe. O tym powiedział Jezus, gdy apostołowie byli znużeni i nie mogli podtrzymać swojego Nauczyciela w modlitwie, poprzedzającej drogę na Golgotę.

Po długim głodowaniu, niewystarczającej różnorodności pożywienia i braku witamin (tego nie mógł zapewnić skromny prowiant obozowy), moje ciało doszło do wyczerpania, fizyczny stan bardzo się pogorszył. Zmęczenie zwałało z nóg, zawsze prześladowało pragnienie, żeby paść i zapomnieć się we śnie.

Nocny sen jako piętnastominutowe zapomnienie: na którym boku się kładłem, na tym się przebudzałem. Gdy zaczynasz myśleć o przewróceniu się na drugi bok, dyżurny krzyczy: „Pobudka! Wychodzić do pracy!”. I tak każdego dnia.

Raz przyszedłem z pracy zmęczony, siadłem na pryczy i mówię: „Panie! Ty znasz moją wierność dla Ciebie. Ja już odsiaduję drugi wyrok w obozie i nie zamierzam wyrzekać się Ciebie. Panie! Lecz mocno jestem zmęczony, poślij mi ulgę. Ty wiesz, jak to zrobić!”.

Podczas modlitwy na pamięć przysły słowa z Listu apostoła Pawła do Koryntian: „Dotąd nie przyszło na was pokuszenie, które by przekraczało siły ludzkie; lecz Bóg jest wierny i nie dopuści, abyście byli kuszeni ponad siły wasze, ale z pokuszeniem da i wyjście, abyście je mogli znieść” (1Kor.10:13). Ten werset z Biblii okazał się dla mnie tak zbawiennym, jak kotwica dla statku podczas silnego sztormu. Powiedziałem: „Panie! Teraz nie odstąpię – jest to Twoje słowo!”.

Parę dni po mojej modlitwie u naczelnika obozu odbyła się narada. Potrzebowano magazyniera do magazynu, gdzie składowano przemysłowo-budowlane materiały. Naczelnik reżimu proponował swoich ludzi na to „dobre” miejsce. Ci swoi ludzie w obozowej gwarze nazywali się „kablami”. W obozie pracowali oni w najbardziej ciepłych miejscach, takich jak stołówka, piekarnia, krajalnia chleba. W magazynie do obowiązków magazyniera należało prowadzenie ksiąg przychodów i rozchodów materiałów, całą pozostałą pracę w magazynie wykonywali robotnicy.

Na propozycję naczelnika reżimu, żeby dać na brakujące miejsce jego człowieka, naczelnik obozu odpowiedział odmownie. Miał swój pogląd: tego pobożnego, który odmówił pracy w niedzielę – jego dać na to stanowisko.

Na drugi dzień po naradzie wyszedłem do pracy. Podszedł do mnie majster i

powiedział: „Gawriłowicz, dali ci lekką pracę. Idź, przyjmij magazyn”.

Łzy popłynęły strumieniem z moich oczu – były to łzy radości. Chwała Ci, Panie! Odpowiedziałeś na modlitwę sługi Swego!

17. Obozowi rolnicy

Pewnego razu, podczas rozmyślania z braćmi nad warunkami życia w obozie, oświeciła mnie myśl, którą zaraz wypowiedziałem. Zapytałem swoich braci: „Gdzie można znaleźć nasiona ogórka?”. Podzieliłem się decyzją, która dojrzała podczas spotkania, żeby posadzić przed okienkiem magazynu, gdzie pracowałem, ogórki.

„No, bracie Filipie... Czyż więźniowie dadzą im wyrosnąć?” – usłyszałem i odpowiedziałem: „To już nie nasza troska – Bóg ustrzeże”. Zaczęliśmy się modlić.

Wkrótce mieliśmy nasiona, a przyniósł je nam jeden z oficerów, pracujących w obozie. Następnego dnia, wychodząc do pracy, wziąłem ze sobą łopatę, żeby uprawić glebę, przecież ogórki w złej glebie nie rosną. Potrzebna jest dobra ziemia, a w naszej strefie był syпки, piaszczysty grunt. Jak sadzić w piasku?

Skopawszy grządkę, wziąłem nasiona do ręki, podniosłem je ku niebu i powiedziałem: „Panie! Ty wiesz, że w obozie jest nas czterdziestu głodnych braci. Proszę Cię, błogosław wzrost ogórków w tym piasku. Uczyni cud na chwałę Twojego imienia! Amen!”.

Rolnik długo czeka na owoce z posianego nasienia. Śpi, innymi sprawami się zajmuje, zanim Pan ześle wczesny i późny deszcz, który daje wzrost plonowi. I ja czekałem, obserwując pojawiające się kielki, rozwijające się listki. Patrzyłem na to, jak rosną, stają się coraz większe, jak na cud! A jak inaczej? Przecież nie sadziłem nasion w czarnoziem, lecz w piaszczystą glebę, niczym nie nawożoną ziemię.

Wkrótce ogórki zaczęły kwitnąć. Lecz ogrodnictwem nie tylko ja postanowiłem się zająć. W innych miejscach też zrobiono grządki. Dowiedział się o tym naczelnik reżimu i zapalał chęcią, żeby wyrwać wszystkie uprawy więźniów.

I oto on, a z nim dwóch żołnierzy, idą w kierunku moich upraw. Ktoś krzyknął do mnie: „Filipie Gawriłowiczu, po twoje ogórki idą!”.

W pośpiechu pobiegłem do magazynu i zwróciłem się w modlitwie do Pana: „Panie, Ty błogosławiłeś już tę uprawę i nie wierzę, że oni ją zniszczą”. W czasie mojej modlitwy naczelnik był już przy grządce. „No i ogórki! – usłyszałem. – Teraz zostawimy, a w powrotnej drodze wyrwiemy”. Poszli.

Z radością zacząłem chwalić Boga: „Chwała Ci, Panie! Oni tutaj więcej nie przyjdą”. Tak też się stało, więcej nie podchodzili. Lecz swój zamysł naczelnik reżimu wszystko jedno wykonał – wszystkie ogórki wyrwali, tylko moje grządki pozostały.

Obecnie każdego roku sadzę ogórki i troszczę się o nie, jak umiem, lecz takich ogórków, które wyrosły na błogosławionych grządkach obozowych, jeszcze w swojej praktyce nie widziałem. Każdego dnia zbierałem po pięć-osiem kilogramów i niosłem je braciom. I codziennie wznosiła się chwała Bogu za ten cud, który On uczynił dla Swoich dzieci.

Będąc z zawodu bednarzem, zrobiłem beczułkę i w miarę tego, jak ogórki rosły, kisilem je.

Okolo roku po opisanych wydarzeniach, przestano zamykać więźniów po pracy. Wtedy ja i moi bracia otrzymaliśmy możliwość zbierania się na społeczność i modlitwę. Lecz nadzorca śledził nas bardzo dokładnie i gdy wyszedł, że zbieramy się razem, zatrzymywali nas i sadzali do karceru na pięć dni.

W procesie liberalizacji rygoru pozwolono nam na otrzymywanie paczek. W tym czasie wyznaczono mnie na „kucharza”.

W obozie była samodzielna kuchnia. Na jej płycie można było umieścić do 20 kociołków, lecz potrzebujących, żeby ich dożywić, pomimo przydziału w strefie, było około 500 osób. W konsekwencji, kolejka do płyty była niemała. Kiedy przychodził czas capstrzyku, dyżurny wyganiał wszystkich z kuchni. I dlatego, chcąc zdążyć zjeść, wielu starało się być pierwszymi i używając pięści, robili krwawe awantury.

W niedzielę, idąc do pracy, bracia zostawiali mi kaszę. A po moim nabożeństwie do ich przyjsia z pracy, gotowałem tę kaszę z karmelem.

18. Etap. Nowe miejsce.

Okres, gdy uwięzionych przewożą z miejsca na miejsce – jest okresem strasznym. Działają tu inne prawa, różniące się od obozowych – działa tu zasada: „anarchia – matką porządku”. Jeżeli w obozie ktoś na kogoś „miał oko”, to mógł policzyć się z krzywdzicielem podczas etapu. Podczas przejazdu było możliwe to, co nie było możliwe w obozie. Niekiedy w drodze kaleczono ludzi, wyrównując porachunki.

W 1953 roku, w listopadzie, oświadczone nam o wyjeździe na Syberię. Lecz nikt nie znał konkretnego miejsca, dokąd chciano nas skierować. Wkrótce została zrobiona i wywieszona lista tych, którzy mieli przed wyjazdem zdać ubranie i pościel. W zamian wydano podarte.

Pięć dni trwało przygotowanie do etapu, potem podstawiono wagony towarowe, do których załadowano trzy tysiące ludzi.

Skład wyglądał zagadkowo. Na dachu każdego wagonu umieszczono po dwa reflektory i dwóch wartowników z automatami. Wieczorem, gdy ściemniało, pociąg wyglądał, jak świecące girlandy.

Przez 20 dni wieziono nas do Omska. Po przybyciu przywitała nas niezliczona liczba żołnierzy i oficerów z karabinami i owczarkami. Otoczyli nasz eszelon i dużą część pola, gdzie nas wyładowano.

Pogoda była zła: deszcz ze śniegiem, pod nogami błoto. Całą operacją dowodził major, który, jak się później okazało, był naczelnikiem reżimu. Najpierw według listy oddzielił wszystkich tych, którzy mieli po dwa wyroki lub „odsadywali” duży wyrok. Według takich kryteriów oceny i ja zostałem włączony do tej grupy skazanych. Z całego etapu znalazło się nas takich „szczególnie niebezpiecznych” 200 osób.

Major ustawił nas w dwóch kolumnach po 100 osób i zaczął z nami eksperymentować, próbując naszą cierpliwość: „Na moją komendę! Baczość! Padnij!

Powstań!” i tak dalej... W ten sposób 10 razy przemoczył nas w błocie. Kto nie wytrzymał i próbował buntować się, tego zakuwano w kajdanki i kierowano do izolatki.

Później, zabłoconych i mokrych, przyprowadzili nas do obozu BUR. Po uciążliwej drodze przywitali nas, jak należy - najpierw „łaźnia i prysznic”, to znaczy kąpiel w błocie, a później – zimne cele więzienne. Panie! Serdecznie dziękuję Tobie za moje wzmocnienie duchowe i fizyczne!

Po dziesięciodniowej kwarantannie nas, nowoprzybyłych, rozdzielono po brygadach. Lecz praca była dla wszystkich jedna – kopanie ręczne rowów. Budowano tutaj przepompownię ropy naftowej.

Przyszła zima, a z nią nastąpiły też mrozy, które dochodziły do czterdziestu stopni. Wokół nas śnieg, śniegu niedużo, lecz bardzo silne wiatry, a ziemia przemarzała do dwóch metrów w głąb.

Po to, żeby otrzymać dobowy prowiant, to znaczy 600 gramów chleba, 200 gramów kaszy i 500 gramów zupy, trzeba było wykopać jeden metr sześcienny zmarzniętego gruntu. I jeżeli normy nie wykonywano, wtedy zabierali kaszę i 200 gramów chleba.

Wydano nam łomy, kilofy i łopaty. Kiedy dłubano w ziemi, ona pryskała prosto w twarz, wpadała za kołnierz, a później tajała. Wieczorem, po pracy, nie poznawaliśmy jeden drugiego – tak byliśmy brudni. Ciągłe niedojadanie i ciężka praca doprowadzały niektórych do całkowitej rozpaczki. Po pracy nie zamykano nas w barakach i mieliśmy możliwość razem rozmawiać. Któryś z braci, jak prorok Ezechiel, powiedział: „I padną nasze kości w syberyjskim stepie”. Lecz ja tak nie myślałem. Wierzyłem słowom Jezusa Chrystusa, że zostanie zbudowany Kościół, „a bramy piekielne nie przemogą go”. A to znaczy, że każdy z nas, chrześcijan, będących w więzieniu, wróci do swojego zboru jako zwycięzca.

Wewnętrzny porządek obozowy był bardzo surowy. Każdy z uwięzionych na widok żołnierza-nadzorcy musiał stanąć na baczność i złożyć meldunek: „Dzień dobry, panie naczelniku!”. Kto tak nie robił, tego od razu kierowano do karceru.

Wśród nas znajdował się skazany generał Borisow z Leningradu, który w takich przypadkach nie oddawał honorów żołnierzom i dlatego często spędzał czas w izolatce.

W tym przypadku Pismo mówi: „Oddawajcie każdemu to, co mu się należy; komu podatek, podatek; komu cło, cło; komu bojaźń, bojaźń; komu cześć, cześć” (Rz.13:7). Była to dobra szkoła cierpliwości.

Obóz dzielił się na dwa rodzaje więźniów. Do pierwszego należeli złodzieje, zabójcy, grabieżcy (kierownictwo obozu uważało ich za „swoich” ludzi). Dla nich były wszystkie „ciepłe” miejsca pracy. Żaden z nich, a było ich około 200 osób, nie chodził do strefy, gdzie dłubano w ziemi. Kosztem naszego niedojadania, z dopustu kierownictwa obozu, oni dobrze się odżywiali. Zaś pod naszym adresem było: „Dla was, wrogów ludu, tak trzeba”. „Pracujący w usługach” mieszkali w oddzielnych barakach.

Wśród głodnych i udreńczonych więźniów, skazanych z „politycznych” paragrafów, zanikała cierpliwość. I pewnego razu wydarzył się taki incydent. „Polityczni” postanowili wydać wojnę. Około północy poszli do baraku „pracujących na usługach”, aby wszystkich zabić.

Oszalali w bezsilności i rozpaczki, więźniowie wyrwali deski z prycz i wściekli

rzucali się jeden na drugiego. Był to okropny widok: ludzka złość, nagromadzona przez czas przebywania w obozie, wylała się na zewnątrz. Podczas nieporządków kierownictwo bało się wchodzić do obozu. Jedyne, co próbowali zrobić dla „zeków” – to otworzyć bramę i ogłosić przez wewnętrzny radiowęzeł: „Kto może – niech ratuje się przez bramę!”.

O zaistniałym incydencie bardzo szybko dowiedziała się Moskwa i do obozu przyjechała komisja śledcza. Po czym całe kierownictwo obozowe zostało pośpiesznie wymienione, a więźniów rozdzielono w dwóch podstrefach – kryminalnych i politycznych.

Praca więźniów była dla państwa najtańsza, najkorzystniejsza. Przy takiej ilości pracy, która spoczywała na naszych ramionach, moglibyśmy zarabiać po 1300-1500 rubli miesięcznie, gdyby za naszą pracę płacono. Lecz z tej sumy wydawano na nas tylko 12 rubli, reszta szła do państwowej kieszeni. Nie jest dziwnym, że największe budowy kraju zostały wzniesione na kościach „zeka”.

Obozy w tym czasie były przepełnione taną siłą niewolniczą – tysiące niewinnie skazanych ludzi spędzało dziesiątki lat za drutem kolczastym, budując dobrobyt kraju. Ale zbliżała się odwilż – czas rehabilitacji.

W 1954 roku w gazecie „Izwestia” pojawił się artykuł Chruszczowa, w którym mówiono o błędach, popełnionych podczas rozwoju ateistycznej propagandy wśród ludzi, które pociągnęły za sobą sprawy karne. Na koniec tego artykułu wyróżniał się cytat: „Błędy naprawić i w przyszłości nie dopuścić!”.

Z tym numerem gazety podszedłem do naszego politycznego pracownika i powiedziałem: „Według tego artykułu powinienem być już w domu. Co na to powiecie?”. W odpowiedzi usłyszałem znaną już piosenkę, lecz brzmiącą na nowy motyw: „Ja rozumiem, że nie jesteście winni. Jesteście prostym człowiekiem, bez chytrności. Lecz przecież ktoś wciągnął was do tej sekty? Napiszcie o ulaskawieniu. Napiszcie, kiedy to z wami się stało, jak spotkaliście się z jakimś bratem, jak on wyjaśnił wam o wierze w Boga. Napiszcie, że byliście młodzi, chętnie przyjęliście jego propozycję i wstąpiliście do sekty. A teraz, piszcie dalej, sami poznaliście i uświadomiliście swój błąd. Wychodząc z powyższego, prosicie o ulaskawienie”.

Wysłuchałem go i powiedziałem: „To metoda Judasza i tego nigdy nie będzie”. Na to usłyszałem, że będę dalej odsiadywał swój wyrok. A wtedy powiedziałem: „To wszystko rozpatrzy Pan!”.

Rozstaliśmy się. Rozmyślałem. Coraz bardziej porażał mnie bolszewicki system łamania ludzi. Była to straszna szkoła dla nieutwierdzonej duszy – musisz kopać dół innemu, jeśli nie chcesz sam w niego wpaść. Innego wyjścia nie ma. Człowiek, który nie ma w sercu Boga, łatwo uczy się tego i uczy innych. Oto dlaczego miliony ludzi było ofiarami komunizmu, zaliczonych do wrogów ludu.

Mój duch nie mógł godzić się z tym. Dużo się modliłem i mówiłem:

„Panie! Czyż prawda Twoja zawsze będzie prześladowana? Czy długo jeszcze triumfować będzie kłamstwo? Ujmij się za sierotami i wdowami – wejrzyj na ich łzy! Spójrz na grabieżę, które cierpią rodziny chrześcijańskie!”. Czym więcej się modliłem, tym bardziej utwierdzałem się, że te czasy mijają. W Księdze Objawienia, w 8 rozdziale od 3 wersetu mówi się, że Bóg ma szczególnego anioła, który zbiera modlitwy ludu Bożego do oddzielnego kielicha. I kiedy on napelni się, wylewa je na ołtarz, który znajduje się przed tronem Bożym. „I wznosił się z ręki

aniola dym z kadzidel z modlitwami świętych przed Boga. A anioł wziął kadzielnicę i napełnił ją ogniem z ołtarza, i rzucił ją na ziemię. I nastąpiły grzmoty donośne, i błyskawice i trzęsienie ziemi” (Ob.8:4-5). Taką moc ma modlitwa!

I jeśli o coś się modlicie, to musicie wiedzieć, że nad wami jest czuwający anioł, który zbiera wasze modlitwy, a kiedy kielich wypełni się, otrzymacie odpowiedź od Pana. Oczami tego nie widzimy, lecz wiarą osiągamy. Nigdy nie przerywajcie waszej modlitwy, dalej się módlcie do końca. Przeciwno waszej modlitwie będą występować moce piekła. Prorok Daniel modlił się i modlitwa jego została usłyszana pierwszego dnia, a odpowiedź przyszła dwudziestego pierwszego dnia. Nie martwcie się – odpowiedź przyjdzie i do was!

Budowa. Kombinat podzielony jest na odcinki, a naczelnikiem każdego jest wojskowy. Praca trwa. Dłubię ziemię i błagam: „Panie! Ześlij mi ulgę! Ty wiesz, że słabnę. Jak mi pomóc – Ty wiesz”.

Wkrótce potem przetrzucili mnie do brygady stolarzy – do ciepłego pomieszczenia. Chwała Bogu! W przyrodzie, żeby dojrzewał i kształtował się owoc, są deszcze, burze, światło słoneczne i ciepło jego promieni, tak samo, żeby dojrzał nasz owoc duchowy, Bóg ma dużo recept odżywiania i stymulowania. Dlatego bądźcie mądrzy, żeby nigdy nie narzekać na otaczające nas okoliczności, które wydają się nie do pokonania.

Osobiście dziękuję Bogu za obfite lekcje.

Naczelnik odcinka, gdy zostałem przeniesiony, był w stopniu kapitana i byłym śledczym. Zawsze przyglądał się mi i raz wezwał do siebie do gabinetu, gdzie odbyła się otwarta rozmowa. Interesował się mną, moją rodziną, za co siedzę, jaki wyrok itd. Po skończeniu rozmowy, powiedział mi: „Jutro przyjmiesz magazyn materiałów i odtąd będziesz moim pomocnikiem na odcinku gospodarczym”. Zgodziłem się na tę propozycję.

W obozie każdemu więźniowi zakłada się tajną teczkę, w której umieszcza się dodatnie i ujemne cechy itd. Podczas przejazdu z obozu do obozu, ta teczka jedzie za jej właścicielem. W mojej teczce były dane, że pracowałem w magazynie.

Jakiś czas po pierwszej rozmowie naczelnik znowu wzywa mnie do siebie i mówi: „Ktoś jest na ciebie bardzo zły. Pełnomocnik w obozie parę razy mówił mi, po co w magazynie trzymam ciebie, jakbym nie miał swoich ludzi?”.

Jako „swoich ludzi” rozumiano „kablarzy”, donosicieli, z którymi kierownictwo obozowe mogłoby prowadzić swoją pracę. Zrozumiałem aluzję i odpowiedziałem naczelnikowi: „Nie mogę mówić o kimś nieprawdy. Lecz pomodłę się, a Bóg coś mi podpowie”. W widzeniu Bóg pokazał mi, kto jest donosicielem w naszej brygadzie i powiedziałem to naczelnikowi, co objawił mi Pan.

Naczelnik wezwał tego człowieka przy mnie i surowo ostrzegł: „Albo przestanieś donosić, albo w przeciwnym przypadku, usunę ciebie z brygady - będziesz ryć ziemię”. Od tego czasu kapitan był moim kolegą. Gdy drogi człowieka podobała się Bogu, wtedy On i nieprzyjaciół jego jedna z nim. Chwała Bogu!

19. Decyzja Sądu Najwyższego

Po głębokich rozmyślaniach i modlitwach przyszło do mnie pobudzenie od Ducha Świętego, żebym napisał skargę do prokuratora generalnego z wyliczeniem tego bezprawia, które istniało w czterdziestym roku władzy radzieckiej. W tej skardze musiałem opisać tortury i znęcanie się, gwałty, których dopuszczono się w stosunku do nas.

Decyzja Sądu Najwyższego – sprawę rozpatrzono i z braku dowodów przestępstwa w ciągu 21 godzin zwolnić, skierować do wybranego miejsca zamieszkania. Alleluja!

*Wiara potężna widzi to, o co prosi,
Wzrok podnosi na Stwórcę.
Nie dopuszcza odmowy Jedyne
I wykrzykuje: wszystko otrzymam!*

Przypominam przeżyte lata w obozie: przed oczami stoją kolejki więźniów pod kuchnią, którzy skończywszy swój dzień pracy, przychodzili z nadzieją pracy tutaj, a gdy przy tym udawało się świsnąć parę surowych ziemniaków, uważano to za duży sukces.

Nad okresowymi pracownikami ciągle stawiano jednego i tego samego brygadzystę. Przed pracą surowo ostrzegał, że jeśli zauważy, iż ktoś próbuje jeść surowe ziemniaki, to wygoni winnego z kuchni i nigdy więcej nie wpuści do tego „ciepłego” miejsca. Prócz tego, brygadzysta miał przygotowaną na ten wypadek specjalną grubą pałkę, którą „wyprowadzał” każdego winowajcę.

Brygada kuchenna obierała ziemniaki, myła kotły, nosiła wodę, rąbała drewno, paliła pod kotłami itd. Lecz rano śpieszyli do pracy na równi z innymi więźniami, chociaż nie spali w nocy, dobrowolnie pracując w kuchni - oto do czego pobudzał głód. Taki sposób życia sprzyjał przeżyciu w warunkach obozowych, lecz wielu umierało, nie wytrzymując braku jedzenia i fizycznego ciężaru. Umierali na oczach. Ogłądnałeś się, a obok ciebie leży sąsiad, już martwy.

Przy braku jedzenia rozwija się anemia. Lecz i tę małą ilość krwi, którą mieliśmy, każdego dnia piły pluskwy, których w barakach było pełno. Co tydzień więźniowie oblewali swoje prycze wrzątkiem, próbując uchronić się od pasożytów.

Powszednie życie obozowe nie zagasiło we mnie i w braciach pragnienia zbierania się na wspólnych rozmowach i rozmyślaniu nad Pismem Świętym oraz w celu wspólnych modlitw. Na takich zgromadzeniach byli obecni i niewierzący, uważnie słuchający tego, co mówiliśmy, niektórzy przyjmowali Jezusa Chrystusa jako osobistego Zbawiciela przez upamiętanie w swoich grzechach. Robiliśmy też wieczerzę Pańską, przygotowując z suszonych owoców wino. Bóg w cudowny sposób pomógł nam przez jednego z robotników nawiązać kontakt ze zborem chrześcijan w Omsku, którzy bardzo pomogli braciom, będących w więzach, przekazując żywność. Ryzykując swoją wolnością i życiem, dążyli oni do wykonania nakazu Jezusa Chrystusa: „Albowiem łaknąłem, a daliście mi jeść” (Mt.25:35).

W czwartym roku mego przebywania w obozie, pozwolono mi jako dobremu robotnikowi spotkać się z żoną. Widzenie odbyło się w marcu 1955 roku

Okazało się, że przez trzy lata moja żona nie miała żadnych wiadomości o mnie: gdzie jestem, co ze mną? I gdziekolwiek by nie zwracała się, nie mogła nigdzie się dowiedzieć.

Ciężką karą dla człowieka jest głód. Dużo w życiu można łatwiej znieść niż to. Głodny ciągle ma w głowie jedno – co by tu zjeść. I w poszukiwaniu jedzenia jedni chodzili na śmietnik, inni otrzymawszy z domu paczkę, starali się przez nią nawiązać znajomości w piekarni, stołówce lub krajalni chleba.

Przez podobne łapówki można było nawiązać dobre stosunki nie tylko z robotnikami obozowego żywienia, lecz i z tymi, od których zależało twoje wyjście do pracy lub pozostanie w razie choroby. Robotnicy najczęściej byli chętni do łapówek. Jeżeli chory przychodził do lekarza, to jego oględzinom często towarzyszyły słowa: „Oddychaj. Nie oddychaj, paczki dostajesz? Nie? Oddychaj. Ubieraj się i jutro do pracy – zdrowy”.

Głód zmuszał więźniów do inicjatywy, żeby przeżyć. Znając obozowe porządki, nawiązałem znajomość z robotnikami stołówki na izbie chorych. Wracając po pracy, zachodziłem tam i pomagałem kucharzom, a przed capstrykiem wracałem do baraku. Swoją kolację oddawałem bratu w wierze, który pracował ze mną w jednej brygadzie i było to dla niego dobrym wsparciem.

I tak, 5 maja 1955 roku czekała na mnie decyzja Sądu Najwyższego o moim szybkim zwolnieniu w ciągu doby. W tym czasie pracowałem w kuchni izby chorych. Szukali mnie wszędzie. Jeden znalazł mnie i obwieścił radosną wieść o tym, że jutro wracam do domu. „Biegnij szybko” – pogańał mnie.

Prawie ścięto mnie z nóg, lecz zebrawszy siły, pobiegnęm.

W kancelarii czekał na mnie kapitan. „Dokąd pojedziesz? – zapytał. – Muszę mieć dokładny adres”. Ciągle jeszcze nie rozumiałem, jeszcze nie mogłem ogarnąć wszystkiego umysłem, co się działo. Patrząc na mnie, kapitan wyjaśnił: „Oto decyzja Sądu Najwyższego. Nie wierzysz? Masz, patrz. Jutro musimy ciebie wyprowadzić i powiadomić o tym Moskwę”.

Dziwne! Gdy pisałem skargę, to wierzyłem, że Pan ruszy tę sprawę w najlepszy sposób. Kiedy oczekiwania urzeczywistniły się, trudno było mi zrozumieć to, co się działo, stałem zmieszany.

To przeżycie podobne jest do wydarzeń, opisanych w Ewangelii, po zmartwychwstaniu Jezusa. Oto On, Chrystus, stoi przed uczniami i mówi: „Pokój wam!”. A oni w zdumieniu patrzą i nie wierzą. Także, gdy chrześcijanie modlili się w domu o uwolnienie apostoła Piotra z więzów, a Bóg odpowiadając na ich modlitwy, posyła anioła, który uwalnia apostoła. Modlący się, zobaczywszy uwolnionego Piotra, nie wierzyli swoim oczom, nie wierzyli odpowiedzi na ich modlitwy. Coś podobnego przeżywałem i ja. Naczelnik zapytał mnie: „Powiedz mi, jak udało się tobie załatwić tę sprawę z uwolnieniem? Nie mogę zrozumieć. Przecież w twojej sprawie wyraźnie powiedziano, że nie podlega ulaskawieniu”.

Następnym dniem była niedziela.

Maj. Jest ciepło. Bracia zebrali się, a ja głośno mówiłem im na pożegnanie kazanie o wierze. I wszyscy przekonali się, że jak wierzyłem, tak według mojej wiary odpowiedział Pan. Przecież miałem największy wyrok.

Zwykle nadzorcy, zauważywszy nasze społeczności, szybko nas rozganiali: „Szybko do baraków!”. Lecz tym razem powstrzymałem ich i mówię: „Uspokójcie się. Nikt z nas dziś nie będzie się rozchodził. Dziś jestem obywatelem, którym

bardzo interesuje się władza najwyższa i dlatego mamy święto. Jeżeli chcecie, posłuchajcie, o czym rozmawiamy, jeżeli nie, idźcie dalej”. Więcej nie niepokoili nas. Skończyliśmy nabożeństwo i wszyscy pożegnali się ze mną. Na drugi dzień przywieźli mnie na stację, uścisnęli rękę i życzyli szczęśliwej drogi. A serce zaczęło bić radośnie: wkrótce spotkanie z małżeństwami i żoną, z braćmi i siostrami, których organom bezpieczeństwa nie udało się „zadusić”. Z oczu płynęły łzy wzruszenia, w uniesieniu serca dziękowałem Panu za przeszłość i prosiłem o mądrość na przyszłość, wiedząc, że jeszcze nie raz będzie potrzebna.

Pociąg zbliżał się do stacji Suchobieżwodnoje, ulicami której w 1950 roku prowadził mnie jako przestępcę naczelnik milicji, a za mną dochodził szloch żony. 9 maja o 10:25, pięć lat później wychodziłem z pociągu z mokrymi od łez oczami. Serce drżało z radości. Do chaty, gdzie mieszkała żona, trzeba było przejść około sześciu kilometrów przez obsiane pola i zarośla. Jasne słońce radośnie rozsypało swoje ciepłe promienie, wszystko przelewało się od jego jasności, a w zaroślach śpiewały słowiki. W triumfie duszy klęknąłem i uwielbiłem Pana za wszystko, co wydarzyło się w moim życiu, za to, że po wszystkich doświadczeniach byłem zdrowy duchowo i fizycznie. Razem ze mną cieszyło się słońce i cała przyroda, gdyż prawda Boża triumfowała.

20. W nowych warunkach

Po powrocie do domu organy KGB nie pozwoliły mi odpocząć po pięcioletnim „kurorcie”. Podczas mojego uwięzienia żona została bez pracy, gdyż uważano ją za „niebezpieczny element” i nigdzie nie zatrudniali. Dlatego po powrocie musiałem ubrać i nakarmić rodzinę. Musiałem pracować. Po to musiałem dostać dowód osobisty, a później stanąć na wojskową rejestrację.

I oto jestem na posterunku milicji, a los znowu daje mi, że spotykam się z naczelnikiem, tym samym, który po moim aresztowaniu opublikował fałszywy artykuł o tych wydarzeniach. Gdy wszedłem do gabinetu, przywitałem go i zapytałem: „Nie poznajecie mnie?”. W odpowiedzi milczenie. „Przypomnijcie – mówię – jak w 1950 roku aresztowaliście mnie i dostarczyliście do Gorkij na „Worobiewku”. Pamiętacie, że po moim aresztowaniu napisaliście artykuł o aresztowaniu amerykańskiego szpiega? Spójrzcie, oto decyzja Sądu Najwyższego o braku dowodów przestępstwa. I kto, jak myślicie, będzie płacił za pięcioletnie bezprawne znęcanie się? Przecież myśleliście, że już nie wrócę i za nic oczerniliście mnie. Gdzie wasz honor, towarzyszu naczelniku? Gdzie wasze partyjne sumienie? Przecież wasze hasło głosi, że „partia jest honorem i sumieniem całego ludu”.

W tym czasie siedziało około dziesięciu ludzi z organów milicji. Naczelnik bardzo się zmieszał i zaczął przekonywać mnie. „Ciszej, ciszej. Później na osobności porozmawiamy”. Lecz odpowiedziałem: „Nie! Ja chcę, żeby wasi podkomendni wiedzieli, kto jest ich szefem i do czego jest on zdolny”.

Naczelnik zaczął się bronić: „A wiecie, że we wszystkim jest winny Beria?”. „No i co? - mówię. - Gdyby rozkazano wam, żeby mnie powiesić, to byście wykonali?”. Opuścił oczy i nic więcej nie odpowiedział...

O, duchowo biedni ludzie, którzy są w niewoli diabła! Przecież oni robili i do-

brze rozumieli, że czynią niesprawiedliwość, jak wół prowadzony na ubój, tak i ci żałośni pracownicy pod władzą systemu robili dużo bezprawia.

Szczęśliwi są ci ludzie, którzy znają prawdę Bożą! Oni naprawdę są wolni od każdego systemu grzechu i zła.

Z naczelnikiem milicji rozstaliśmy się po przyjacielsku, chociaż trochę go obstorcowałem przy jego podwładnych. Przecież i Jezus piętnował faryzeuszów i uczonych w Piśmie, niejednokrotnie mówiąc im: „Biada wam!”. Lecz w Jego nauce nie ma miejsca na zemstę, oddawanie złem za zło. Więcej mówi się o odpuszczeniu: „Miłujcie nieprzyjaciół waszych i módlcie się za tych, którzy was prześladowają, abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebie, bo słońce jego wschodzi nad złymi i dobrymi i deszcz pada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” – tak nauczał On (Mt.5:44-45).

W ciągu jednego tygodnia otrzymałem dowód osobisty i książeczkę wojskową, jednak bardzo długo szukałem pracy. W końcu, w Krasnobakowskim rejonie Gorkowskiego okręgu w drzewnym kombinacie otrzymałem pracę jako cieśla lub stolarz, lecz mieszkania nie mogli obiecać. „Jeżeli sam znajdziesz mieszkanie i przemeldujesz się, to przychodź” – tak mi mówiono.

Niedaleko od zakładu była wioska, prawie opuszczona. Domki powykrzywiane, dużo bez kominów lub okien, w niektórych dachy przegniły itd. Musiałem długo pochodzić, żeby zdobyć miejsce do zamieszkania. Przywitała mnie dziewczyna, do której należały dwie izdebki. W jednej mieszkała ona, a druga była pusta, lecz była bez okien, z ciekącym dachem i rozbitym piecem. Za określoną sumę proponowała tę izbę. Zgodziłem się, gdyż nie miałem wyboru. Myślałem, że wszystko naprawię, wstawię okna i będzie można żyć.

Po decyzji przemeldowaliśmy się i poszedłem do sztabu wojskowego, żeby mnie zarejestrowali. W sztabie okazałem swoje dokumenty i decyzję Sądu Najwyższego o rehabilitacji, lecz w sztabie ku wielkiemu memu zdziwieniu, przeczytawszy decyzję, napisali na blankiecie, przybivszy pieczęć: „Zameldować się za pięć lat”. Zabrałem swoje dokumenty i wyszedłem, myśląc: „Nie podporządkowują się Sądowi Najwyższemu!”.

Po pięciu latach znowu przyszedłem do sztabu. Był już inny komisarz. Przeczytał moją decyzję i zaczął szumieć, dlatego przez pięć lat nie stawałem do wojskowej rejestracji. Powiedziałem mu, jak postąpili ze mną jego poprzednicy i pokazałem papier z pieczęcią. Wyzwawszy swego poprzednika, komisarz zaczął myśleć, jak ma postąpić ze mną. Pomyślawszy, napisał mi, że zwolniony jestem z obowiązku wojskowego.

I tak, zaczęło się nasze życie w nowym miejscu. Przy złej pogodzie, gdy padały deszcze, z żoną przesuwaliśmy łóżka spod jednej ściany pod drugą, bo sufit przeciekał. Ale po uwięzieniu, każde niewygody przyjmowałem inaczej niż zwykle.

Bardzo często śniło mi się w nocy, że ciągle jeszcze jestem w obozie i modłę się do Pana prosząc, kiedy to wszystko się skończy. A żona budziła mnie podczas takich snów i pytała: „Co, płaczesz?”. A ja, jeszcze śpiąc, mówiłem: „Jestem w obozie”. Ale zaraz dochodziłem do siebie i razem modliliśmy się, dziękując Bogu za to, że to tylko sen i że rzeczywistość nie jest taka. Dlatego w niedogodnych warunkach naszego bytowania czułem się jak w kurorcie.

Pod koniec maja 1956 roku rzeka Wietługa mocno wylała. Wokół zieleniły się

łąki i rozwijały się wierzby. Wszędzie było słychać radosne śpiewanie słowików.

Często wstawiałem przed wschodem słońca, rozkoszując się dziełem rąk Bożych i krzyczałem razem z psalmistą Dawidem wersety, które Duch Święty kładł na serce starotestamentowemu królowi Izraela, śpiewałem jego psalmy, oczekując wschodu słońca.

Po załatwieniu w kadrach, zostałem zatrudniony w stolarni przy produkcji ram okiennych i drzwi. Mając doświadczenie w stolarstwie, uczciwie wypełniałem swoje obowiązki i wkrótce zdobyłem autorytet w swojej czterdziestoosobowej brygadzie. W brygadzie (jeszcze przede mną) utarł się zwyczaj: po wypłacie jeden z członków brygady zbierał pieniądze od wszystkich na butelkę i po pracy łączyli stoły na stołówce. „Wesoły” czas trwał do zamknięcia stołówki i nierzadko towarzyszyły temu awantury. Niekiedy przychodziły żony z dziećmi, ciągnęły mężów i ojców do domu. Po takim pijaństwie i kłótniach, przez tydzień wyrównywano rachunki, wyjaśniano stosunki i dopiero na drugi tydzień zaczynało pracować.

Kiedy zbierano pieniądze na podobne spotkania, odmawiałem i za te pieniądze pozyskiwałem szkło i papę, żeby doprowadzić do porządku chatę, w której mieszkaliśmy. Niektórzy robotnicy zaczęli interesować się, dlaczego nie chcę uczestniczyć razem z nimi. To posłużyło za powód do bardzo pożytecznych rozmów, kiedy cytowałem Biblię, opowiadałem o tym, po co istnieje człowiek, jaki jest cel jego życia, dlaczego jest obecny na ziemi i do czego powinien dążyć. Te rozmowy wkrótce przyniosły pierwszy owoc: któryś z moich współrozmówców odmówił uczestnictwa w „przyjęciach”, idąc za moim przykładem.

Kierownictwo zakładu nabrało do mnie zaufania i obiecało dać mi mieszkanie. Lecz do tych planów wmixało się KGB. Nie bez ich udziału wkrótce przygotowano dla mnie prowokację.

W pewnym dniu planowano zrobić komsomolskie zebranie, lecz z nieznaných przyczyn ono nie odbyło się. A następnego dnia w gazecie rejonowej opublikowany został artykuł pierwszego sekretarza komitetu rejonowego partii, w którym mówiło się, że wśród kolektywu robotniczego zakładu pracy pojawił się antyradziecki prowokator, werbujący do swojej sekty naszych komsomolców. Ktoś złapał się na tę pułapkę i w ten sposób zostało zerwane zebranie komsomolskie. Dalej w artykule autor zaciekle dowodził tego, że w socjalistycznym społeczeństwie jest to niedopuszczalne, wzywał do wyciągnięcia w stosunku do winnego, to jest do mnie, najsurowszych konsekwencji.

Przedstawiciel związków zawodowych w zakładzie dostał polecenie wykonania sądu nade mną. Był to dogodny czas, żeby zorganizować przeciwko mnie kampanię, gdyż dyrektor zakładu był nieobecny, a on nie poparłby ich zamiarów, bo byliśmy w dobrych stosunkach.

I oto na zakładowej tablicy zerwieni się afisz, w którym ogłasza się publiczny sąd nade mną, że jestem szkodliwym elementem, demoralizatorem społeczeństwa. Mnie zaś przezornie uprzedzono, żebym w wyznaczonym dniu na sąd nie pojawiał się, sami rozpatrzą.

Żona nic o tym nie wiedziała, bo siedziała w domu z małymi dziećmi. Lecz po jakimś czasie sąsiadka o wszystkim doniosła jej. Po powrocie z pracy przywitała mnie ze łzami, bojąc się, że znowu mnie zaborą.

Bóg pomógł mi uspokoić żonę i w ciszy serca trwaliśmy w modlitwie, powierzywszy Panu wszystkie nasze problemy. Przecież On w Swoim Słowie powie-

dział, żebyśmy wszystkie troski złożyli na Niego, gdyż On troszczy się o nas. I kiedy rzeczywiście wierzymy w żywotność tej prawdy i ufamy Mu (Rz.8:2), wtedy, czego nie jesteśmy w stanie rozwiązać, to możliwe jest dla Pana i tylko dla Niego.

Chrześcijanie nie mają broni, którą niszczy jeden drugiego w świecie, ale ich duchową bronią, którą dysponują – jest modlitwa. „Dlatego powiadam wam: Wszystko, o cokolwiek będziecie się modlili i prosili, wiercie, że otrzymacie, a spełni się wam”. Modlitwa wiary – to jedyny kanał, przez który od tronu Bożej łaski płynie potężna moc, dokonująca na ziemi te wielkie czyny i cuda, których świadkami jesteśmy my, dzieci Boże.

Modlitwa – to duchowa broń. Modlitwa – to zwycięstwo! Zwycięstwo w naszym życiu powszednim.

W 1962 roku z powodu przeciążenia fizycznego miałem zapalenie lewego oka. Zapalenie miało stan ostry i stało się w nocy. Rano, gdy wstałem z łóżka i spojrzałem na palącą się lampkę elektryczną, to zobaczyłem ogromne żółte koło i poczułem ostry ból w oku. Do pracy nie poszedłem, ale skierowałem się do szpitala rejonowego, do okulisty. Po pięciominutowych oględzinach skierowano mnie szybko na oddział oczny szpitala okręgowego. W tym czasie na oddziale pracował znakomity profesor-okulista z Leningradu. Skierowano mnie prosto do niego.

Przytulny gabinet, w którym po kolei włączają się różnokolorowe lampki. Wokół profesora cała delegacja lekarzy. Po oględzinach zadają pytanie: „Towarzyszu profesorze, przywrócić mi wzrok?”. W odpowiedzi usłyszałem: „To, co zostało stracone, już nigdy nie wróci. Wasze oko straciło widzenie i nic nie widzi”. Zapytałem, co można zrobić w tej sytuacji, a profesor zaproponował usunąć źrenicę oka, zamieniając ją na szklaną protezę. Wyjaśnił to następującą koniecznością: „Jest to konieczny krok, jeśli nie chcecie stracić wzroku całkowicie. Rzecz w tym, że oczy są ściśle powiązane z jednym systemem nerwowym człowieka i możecie w ogóle zostać bez wzroku”.

Nie zgodziłem się na taką propozycję. Tak rozstaliśmy się. A na leczenie skierowali mnie do doświadczonego chirurga-okulisty. Lecz nie minęły i dwie godziny mego leczenia w nowym miejscu, gdy do sali wchodzi mój lekarz, który mnie leczył, i mówi: „Filipie Gawriłowiczu, bardzo smutno, lecz zostawię was na siedem dni. Nagły wyjazd do oddalonego rejonu”. Życzyłem mu dobrej drogi, pomimo tego, że sytuacja była niekorzystna dla mego wyzdrowienia. Lecz wierzyłem Panu, w Jego udział w całym moim życiu i czułem, że On chce coś zrobić dla mego dobra. Wiedziałem, że najgorszą drogą dla człowieka w tym życiu jest droga narzekania i niezadowolonia.

Ból był nie do zniesienia. W mojej sali było pięć osób, a kiedy przechodziły obok mnie, wydawało się, że następują mi wprost na oko. Dlatego porosiłem siostrę, żeby przeniesiono mnie do pojedynczej sali. Moja prośba została spełniona.

Leżąc w sali podnosiłem oczy ku niebu i rozmawiałem z Ojcem Niebieskim. W Piśmie opisane są trzy rodzaje chorób. Są choroby, które ludzie otrzymują jako zapłatę za grzech, są i takie, które przeznaczone są dla chwały Bożej przez cudowne uzdrowienia. Są jeszcze i choroby starcze, które pojawiają się w naszym życiu, gdyż nasze ciało śmiertelne wiotczeje. Pytałem się Pana: „Panie! Jeżeli moja choroba jest z powodu grzechu, Ty pokaż mi go, a ja upamiętam się. Jeżeli dla chwały Twojej, to uzdrów moje oko”. Po jakimś czasie Duch Święty objawił mi, że ta choroba jest na chwałę Bożą.

Lecz, jak długo będę musiał chorować dla chwały Bożej – rok, dwa, a może do późnej starości? Lecz Duch Święty w głębi mego serca przemówił: „Nie. Nie przez rok, ale teraz”. Wtedy zwróciłem się do Pana w modlitwie: „Panie, czy potrzebny jest Tobie pasterz z jednym okiem? Z jednym okiem nie mogę być pasterzem i mówić o Twojej wszechpotędze. Będę musiał siedzieć i milczeć. Lecz w to nie wierzę, dlatego w imieniu Jezusa Chrystusa, w którym jest odpuszczenie grzechów i uzdrowienie naszych chorób, oko moje będzie zdrowe. Ja wierzę w to. Chwała Tobie, że przyjąłeś moją modlitwę. Amen!”.

Z powodu silnych bólów nie spałem dwie noce, lecz po tej modlitwie mocno zasnąłem. Przebudziłem się dopiero przed śniadaniem i żadnego bólu nie czułem. Wyszedłem na korytarz, żeby spojrzeć na zegar. Patrzę i trochę widzę chorym okiem, widzę poruszające się wahadło. Dobę później mogłem już rozróżnić wskazówki tarczy zegara, a po dwóch dniach oko zaczęło widzieć, jak poprzednio i do końca tygodnia ostatecznie wyzdrowiałem. Chwała Bogu!

Po tygodniu, jak obiecał, wrócił z wyjazdu mój lekarz, który mnie leczył, przyszedł do mego łóżka i pyta się: „Co zrobiliście z okiem?”. Odpowiedziałem mu spokojnie: „Chociaż mnie porzuciliście, lecz nie gniewam się na was, bo robiliście, co mogliście. Lecz ja mam inną metodę leczenia, lepszą od waszej. Od czternastu lat wierzę w Jezusa Chrystusa. Siedem razy w moim życiu zostałem uratowany od śmierci, która zaglądała mi w oczy. I tym razem modliłem się, mówiąc Panu: „Jeżeli jestem Tobie potrzebny tutaj na ziemi, uzdrów moje oko”. I oto widzicie – naoczny fakt. I wiecie teraz, kto jest moim lekarzem”.

Okulista wykrzyknął: „O, gdybym ja znał taką metodę leczenia, to byłbym nie mniej niż doktorem nauk medycznych!”. Zgodnie z jego wyznaniem my, wierzący, znający wielką metodę uzdrowienia, wszyscy godni jesteśmy nosić tytuł doktorów nauk medycznych. Chwała Bogu! Wtedy, w czasie tej choroby, miałem dopiero 32 lata, ale dziś mam 66 lat. Wcale nie noszę okularów, czytam Biblię z drobnym drukiem, a nocami piszę tę książkę. Wielkie cuda czyni Pan w życiu dzieci Sw-ich! I nie tylko w czasach apostołów, lecz i dziś!

Wrzesień 1962 roku. Sąd publiczny wszystko jedno się odbył i wydał następujące postanowienie: zwolnić z pracy i zesłać w oddalone miejsce. Przewodniczył temu sądowi przewodniczący zakładowego komitetu związkowego. Decyzję przyjęto, lecz co to jest – ludzkie postanowienie, gdy Bóg jest ze mną! I tutaj modlitwa wiary zmieniła wydarzenia.

Parę dni później, skończywszy pracę, zaszedłem na stołówkę, żeby kupić jabłek dzieciom. W stołówce było tłocznie. Zobaczyłem siedzących przy stole korespondentów dużo nakładowej gazety rejonowej i wspomnianego przewodniczącego związków, który zobaczywszy mnie, głośno zawołał: „Filipie Gawriłowicz! Chodźcie tutaj”.

Podszedłem. On wstał, wziął moją rękę i zaczął całować, mówiąc: „Wybacz mi! zadałem ci ból i twojej rodzinie”. Płakał, powtarzając: „Wybacz, wybacz. Posłuchałem ludzi”. Rozumiałem, o jakich ludziach mówił i odpowiedziałem: „Wybaczam wszystko”.

Następnego dnia w gazecie rejonowej ukazał się artykuł ze sprostowaniem i publiczną pokutą przewodniczącego związków. Po tym wydarzeniu zwolnili go z pracy. Mnie zostawili, anulując postanowienie sądu.

Paralelnie z tymi wydarzeniami nie przestawałem pracować dla Pana. Po krót-

kim czasie w tym rejonie narodziło się parę grup chrześcijańskich, którymi opiekowałem się jako pasterz. Każdy mój krok dokładnie obserwowały organa bezpieczeństwa, a w KGB dzień po dniu rosła moja teczka.

W tym samym roku otrzymałem mieszkanie zakładowe na pięć osób – 12 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Po roku urodziła się jeszcze jedna córka.

KGB nie pozostawiało mnie bez swojej uwagi. Co tydzień w zakładzie pracy odwiedzali mnie „gebiści” i za każdym razem podczas podobnych odwiedzin informowali mnie o tym, o czym sam mógłbym zapomnieć: gdzie byłem, co robiłem, z kim rozmawiałem itd. Na koniec każdego spotkania z niezmienną stałością proponowali mi werbunek do organów ze wszystkimi tego przywilejami i korzyściami. Po odmowie pod moim adresem sypały się groźby.

Po jakimś czasie przeciwko mnie zaczęła się nowa kampania – „jak nie kijem, to pałką”. Chcieli powstrzymać moją działalność. W kołchozie zaczął się pomór, a pracownicy KGB, wezwawszy mnie, pokazali mi oskarżenie o to. Nedoręczności wysuwanych oskarżeń można było tylko się dziwić. Lecz była to metoda ich pracy. Nie było ważne, jakie metody, ważny był cel, który organy usilnie osiągały – podporządkować systemowi państwowemu wszystko, co nie układało się w ich normatywach. „Religia – to opium dla ludu” – takie hasło i takie kontradziałanie.

I tak, jakiegokolwiek zło wydarzenie się stało, zaraz starali się złożyć całą odpowiedzialność na mnie.

Gdy były zatrucia w przedszkolu, ja byłem winny. Gdzieś powstał pożar, ciągałi mnie przez tydzień, wzywając na milicję. Przetrzymają cały dzień, a na wezwaniu napiszą, że był na przesłuchaniu dwie godziny.

Ostro zaczęła zmniejszać się moja wypłata. Dzieci podrosły i poszły do szkoły. Lecz prac domowych nie miały gdzie odrabiać. Jedno sadowiło się przy kuchennym stole, drugie na taborecie, przeszkadzając sobie, a to oczywiście wpływało na ich wyniki w szkole. Do tego nauczyciele zaczęły psychologiczną obróbkę dzieci, często przypominając im, kim jest ich ojciec – wrogiem ludu. Z tego powodu dzieci odmawiały chodzenia do szkoły.

W tym ciężkim czasie przyjaciele radzili mi, żeby nabyć jakiś domek. Raz w sobotę razem z żoną, idąc za radą, wybraliśmy się do wioski Wietłużski, żeby kupić dom. Na tablicy ogłoszeń przeczytaliśmy, że jest taki. Przyszliśmy pod wskazany adres, pogadaliśmy z właścicielką i umówiliśmy się na spotkanie za tydzień, żeby ostatecznie dobić targu. Lecz przed naszym odejściem przyszła siostra właścicielki, która mieszkała oddzielnie w swoim domu, napadła na właścicielkę, wymyślając, dlaczego sprzedaje dom. Gdy one między sobą kłóciły się, my poszliśmy.

Na drugi dzień po tym wezwał mnie pracownik KGB i zapytał: „Chodziliście kupować dom?”. Potwierdziłem ten fakt. „Siostra właścicielki była przeciwna sprzedaży?”. „Tak – mówię. – A w czym właściwie rzecz?”. W odpowiedzi nieoczekiwanie słyszę: „W czym rzecz? A nie wiesz? Przecież w tę noc postanowiliście ją zarznąć, żeby ona nie przeszkadzała wam w kupnie domu, zrobiliście jej ranę w okolicy klatki piersiowej. Teraz znajduje się w szpitalu w ciężkim stanie”.

„A więcej nie mogliście wymyślić? – mówię do niego. – To gruba falsyfikacja i awantura. Myślę, gdybym pracował w KGB, byłbym mądrzejszy. On zaś odpowiada, wcale nie krępując się: „Niech gruba, ale zdrowa”.

I znowu śledztwo, przesłuchania przez miesiąc, pusta strata czasu. Do właścicielki tego domu więcej nie chodziłem.

Po wszystkich tych wydarzeniach byłem bardzo zakłopotany. Co robić dalej? Jak postąpić? Z tymi pytaniami zwróciłem się do Pana: „Naucz mnie, jak się zachować?”. I oto przychodzi do mnie myśl, żeby zbudować własny dom. Po jakimś czasie administracja zakładu pracy wydzieliła mi działkę, a ja kupiłem we wsi starą chatę do rozbiórki na materiał budowlany. W pracy poprosiłem chłopców, żeby pomogli zrobić dach, wszystko pozostałe robiłem sam.

Niezbędne do budowy belki drewniane kupowałem w zakładzie pracy i wywoziłem na fakturę. Drewna wtedy w zakładzie było dużo – tysiące metrów sześciennych. Kierownik składu proponował: „Przynies liter, a ja tobie na tę fakturę wypiszę pięć razy więcej”. Gdy odmówiłem, zdziwiony pytał się: „Czy nie chcesz dobrze?”. I za każdym razem, gdy wywoziłem drewno, przychodził liczący i liczył każdą deskę – czy nie ma czegoś „lewego”. Tutaj „gebiści” z uwagą śledzili każdy mój krok, chcąc złapać mnie na kradzieży. Lecz Bóg zachował mnie od tego.

W 1964 roku ukończyłem budowę i przeprowadziłem się z rodziną do własnego domu. Wielką była moja radość. W wyznaczonym dniu zebrałem swoich braci oraz siostry w wierze i zrobiłem przyjęcie.

W kraju panowała ideologia bezbożnictwa i ateizmu, dlatego chrześcijan uważano za największych wrogów społeczeństwa i robiono przeciwko nim najpodlejsze prowokacje.

W każdej szkole był tak zwany kącik ateizmu. Wywieszano tam najróżniejsze rysunki, na przykład takiej treści: Sachalin, jakiś rejon (następuje pełny adres z imionami i nazwiskami), przedstawiona jest matka, która stoi z pałką w rękach i zabija swoją trzyletnią córkę, składając ją w ofierze niewidzialnemu Bogu. Obok wywieszony artykuł, opowiadający, że raz do roku na rytualnym nabożeństwie nocą wyłączają światło i mężczyźni chwyatają pierwszą kobietę, która im popadnie. Prawdopodobnie na Sachalinie mieli swoje kąciki ateizmu, mówiące o tym, co robią chrześcijanie w okręgu Gorkowskim. A ludzie wierzyli tym prowokacjom, których nie można było sprawdzić. W ten sposób zatruwano dziecięce dusze, napełniając nienawiścią do wszystkiego, co chrześcijańskie, a także tworzyła się nienawiść do rówieśników – dzieci chrześcijan.

Po ukończeniu szkoły podstawowej dyrekcja szkoły umieszczała w charakterystyce dzieci ich przynależność do sekciarstwa. Z taką charakterystyką na wyższą uczelnię nikogo nie przyjmowano. W tym samym czasie oskarżano wierzących rodziców o to, że zabraniają uczyć się swoim dzieciom, w ten sposób wnosząc niezgodę do rodzin i społeczeństwa. Pijani władzą partyjni przywódcy nie bali się Boga i ludzi nie wstydzili się. Lecz ich kłamliwa odwaga - to pył, który łatwo z czasem zostaje zdmuchnięty. Osobiście byłem podczas śmierci z tymi którzy kiedykolwiek byli na kierowniczych stanowiskach w partyjnej pracy. Miotali się w agonii śmiertelnych mąk! Krzyczeli: „O, Panie! Pomóż, ratuj, ulżyj w cierpieniu!” Lecz było za późno.

Wszyscy staniami przed Bogiem na sądzie i każdy otrzyma według swoich uczynków to, co robił w życiu – zło lub dobro.

Pod koniec września 1972 roku przeprowadziłem się znowu.

Pracowałem, gdy nagle goniec powiadomił mnie, żebym szybko poszedł do dyrektora. Kiedy szedłem, podeszli do mnie dwaj milicjanci i zaproponowali, że-

bym wsiadł do „woronki”. Zapytałem ich: „Dokąd jedziemy”. Usłyszałem: „Do ciebie do domu”.

Podjechaliśmy pod mój dom. Obok niego stał autobus milicyjny. W domu zobaczyłem przestraszone dzieci. Żona siedzi w kuchni. Wita mnie pracownik KGB, który dowodził wszystkim. Dwunastu chwatów dokładnie ogląda wszystko, co znajduje się w domu. Starszy pokazał mi nakaz rewizji i zażądał mój dowód osobisty, oświadczając, że jestem aresztowany.

Kazali mi nie ruszać się i usiadłszy na krześle, spokojnie obserwowałem wszystko. W trzy godziny wszystko w domu przewrócili: podwórko, drewno, szopę, siano, łaźnię, piwnicę, strych. Zabrali całą literaturę – drukowaną i rękopisy, wszystkie listy i notatki żony. Dobrze napracowali się. zaproponowałem im, zmęczonym, obiad. W odpowiedzi usłyszałem odmowę.

Krótko naradziwszy się, kierownik rewizji powiedział mi: „Możecie zostać w domu, a jutro o 9 godzinie rano macie być u naczelnika milicji”. Odjechali, a my z rodziną w modlitwie podziękowaliśmy za wszystko Panu.

W wyznaczonym terminie zjawiłem się u naczelnika milicji i zobaczyłem tam siedzącego za stołem już znanego mi majora z KGB. On, długo nie myśląc, zaczął napadać na mnie: „No co, dokrzyczałeś się! Teraz wpadłeś. Od razu umówmy się na pokojowych warunkach: ty nam, my – tobie. Podpisujesz zgodę na współpracę, a my zwracamy wszystko, co zajęliśmy”. Odpowiedziałem: „Dziś nie jest dzień targowy, żeby targować się”.

Wśród skonfiskowanej literatury była książka amerykańskiego ewangelisty Roberta „Uzdrowienie z grzechu i choroby”. Oto ta książka była przyczyną mojej ciężkiej sytuacji.

„Nie podpiszesz? – nie uspokajał się major. – To założymy ci sprawę karną”.

Pierwsze przesłuchanie było związane z ukrywaniem zagranicznej literatury. KGB interesowało się: od kogo i przez jaki kanał otrzymałem takiego rodzaju literaturę, z jakim zadaniem przebywam tutaj, z kim spotykam się itd. Kiedy pytania na ten temat skończyły się, wszystko powtarzali od nowa, grożąc pozbawieniem wolności za kontakt z CIA od pięciu do dziesięciu lat. Dochodzenie trwało. „Jutro znowu o dziewiątej godzinie masz być w tym miejscu. I przemyśl, co dla ciebie lepsze – mówili mi na odchodne.

Następny dzień – kolejne przesłuchanie. „No jak? – słyszałem pierwsze pytanie. – Pierwszy protokół, który napisaliśmy przeciwko tobie, porwiemy. Ręka w rękę? Wiedz, że nasze organy teraz pracują nie tak, jak było to za Berii lub Stalina. Możecie znaleźć w nas najlepszych przyjaciół. Ja wiem, że dużo zniosłeś bezprawia – dobrotliwie mówił major – lecz chcemy tobie pomóc. Przeprowadzisz się w inne miejsce, dostaniesz dobrą pracę. Pomyśl dobrze”.

Przez miesiąc na każdym przesłuchaniu proponowali mi, żebym dobrze pomyślał. Ciągłe się modliłem i czułem w sercu pełny pokój, twardo wierząc, że z tego nic im nie wyjdzie, szkoda tylko czasu.

Raz wieczorem gorąco się modliłem i zapytałem Pana, jak się skończy ta kampania przeciwko mnie. I oto, dostałem sen. Zobaczyłem, że idę poboczem drogi. Między domami odległość około 200-300 metrów. Z przodu po lewej stronie drogi kończono budowę dużego domu. Do mnie na spotkanie idzie człowiek w cywilu i mówi: „Filipie Gawriłowiczu, chciałem widzieć was i powiadomić, że w tym domu przygotowane jest dla was oddzielne mieszkanie. Podejdźmy, pokażę

wam”. Odpowiadam: „Ja nie prosiłem was, mieszkania nie potrzebuję, mam swój dom, dobry”. „To nie ja – odpowiada mi. – Jestem tylko wykonawcą, jest to nakaz z góry. Patrz w ten dół. Musimy tylko podłączyć kanalizację i wszystko będzie gotowe”. Lecz nie oglądałem mieszkania z tym człowiekiem, po prostu odmówiłem.

Przebudziłem się i zrozumiałem, że nie będę mieszkał w przygotowanym dla mnie mieszkaniu. Widocznie mało zebrali na mnie błota, czegoś brakuje w ich sprawie przeciwko mnie.

Na następnym przesłuchaniu rozmowa zesłała na moralność chrześcijan i ateistów. Mówiłem śledczemu: „Żebyśmy my, chrześcijanie, zmienili naszą moralność na waszą, musielibyśmy zobaczyć u was czyny, które przewyższają nasze. Wy zaś swoimi czynami wyrzekacie się wszelkiej moralności i daleko za przykładem chodzić nie trzeba. A i to, co ze mną robicie, jest przykładem waszej moralności. Jak grabieżcy wdarliście się do mojego domu, zabraliście wszystko, co chcieliście i uważacie to za wysoką moralność? I chcecie zaproponować mi taką pracę? Do tego musiałbym mieć serce ze stali, lecz mam inne, które otrzymałem od Boga. Czy po to mam przejść trening faszystowski? Nie, za nic!”

„Wszystko robimy po to, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo – kontynuował polemikę śledczy. – Oto książka amerykańskiego kaznodziei, którą zatrzymaliśmy u was podczas rewizji. Na pierwszy rzut oka jej treść jest niewinna. Lecz za nią stoi coś większego. Najpierw ta książka, a później za nią pójdzie amerykański szpieg”

Powiedziałem: „Lecz nie macie ani jednego faktu, żeby prawdziwy chrześcijanin był amerykańskim szpiegiem. Nasze królestwo nie jest z tego świata i w tym świecie nie mamy przed kim się bronić lub z kimkolwiek walczyć. Nasz bój nie jest przeciwko krwi i ciału, ale przeciwko złym duchom w okręgach niebieskich. Wskażcie chociaż jeden przypadek, kiedy chrześcijanie wdzielali się do mieszkań waszych pracowników i grabili je? Lecz oto wasi pracownicy wszystkie domy chrześcijan przetrząsnęli i zabrali wszystko podczas rewizji, co im się podobało. Czy nie tak? I żadna prośba nie pomogła, żeby zwrócono to, co skonfiskowano. To jest moralność?”

Śledczemu trudno było cokolwiek mi odpowiedzieć. „Tak, z tobą trudno się rozmawia – powiedział. – Masz bogate doświadczenie życiowe”. Lecz później, jakby złapawszy świeżą myśl, kontynuował: „A przecież Chile uważało się za chrześcijańskie, lecz po przejściu władzy przez Pinocheta wszystkich komunistów powiesili”. Na to odpowiedziałem: „W naszym kraju wszędzie głosi się hasło: Partia – rozumem, honorem i sumieniem naszej epoki. Lecz w terroryzmie przeszli faszystów. Wy to lepiej wiecie. Polityka każdego kraju zawsze zasłaniała się pokojowymi hasłami...”

„Wróćmy do właściwego tematu” – przerwał mi śledczy. – „Dobrze – zgodziłem się. – Żebym mógł przekonać się o jego istnieniu, musicie udowodnić mi to w praktyce”.

– A jak mamy to zrobić?

– Musicie oddać mi całą skonfiskowaną literaturę, wtedy będziemy rozmawiać inaczej – zdecydowanie oświadczyłem.

– Dobrze, jutro wszystko zwrócimy.

Rozmowa została odłożona do następnego dnia.

Na drugi dzień wziąłem ze sobą torbę, żeby zabrać literaturę. Lecz przy spo-

tkaniu śledczy zaczął rozmowę od tego, od czego już nieraz zaczynaliśmy.

– Wczoraj nie tak umawialiśmy się! – mówię mu. – Zwróćcie mi literaturę, a później będzie rozmowa.

Śledczy zmieszał się, wstał, otworzył sejf i według listy wydał mi całą skonfiskowaną literaturę, w tej liczbie i amerykańskie wydanie. Ileż było radości w moim sercu! Wróciwszy do domu, dziękowałem Panu za to, co On dokonał w tych dniach.

Następne przesłuchanie śledczy zaczął od pytania: „No co, udowodniłem tobie prawdziwość naszej moralności?”.

Przypomniałem, że podczas rewizji w moim domu obecny był korespondent gazety rejonowej, a na drugi dzień po tym w dużym nakładzie ukazał się artykuł, opluwający mnie błotem. I odpowiedziałem śledczemu: „Wasz czyn nie jest jeszcze moralnością. Gdzie sprostowanie tego oszczerczego artykułu w gazecie, który wasi pracownicy napisali? Gdzie przeprosiny i wynagrodzenie za uszczerbek moralny?”.

Później przypomniałem mu, dosłownie przypowieść, o łowieniu ryb: „W mojej brygadzie pracuje dużo wędkarzy, gdyż niedaleko od zakładu pracy płynie Wietługa. Choć sam nie jestem wędkarzem, lecz lubiłem obserwować, jak łapie się ryby. Wędkarz przygotowuje najpierw przynętę, ciasto z olejem, groch, motyle lub robaki - do dziesięciu rodzajów ma ich wędkarz. Później siedzi na brzegu w dogodnym miejscu. Na haczyk zakłada jedną przynętę, a jeśli nie bierze – daje drugą, trzecią i tak wszystko próbuje, póki ryba nie weźmie. Prawda? Podobne to jest do waszej pracy? Wczoraj przynęta z literaturą nie udała się, dziś coś innego?”.

Po tych słowach śledczy z wściekłością skoczył, zacisnął pięści, z ust bryznęła ślina, wyzwał mnie.

– Towarzyszu majorze – mówię do niego. – Nie gorączkujcie się. Tak nie udowodnicie wyższości waszej moralności.

Po wszystkich nieudanych próbach „podkopania” mnie, wzywa mnie do siebie naczelnik komitetu okręgowego bezpieczeństwa państwa. Przyjechałem pod wskazany adres. Widzę - siedzi przede mną człowiek w cywilu. Razem z nim – znajomy mi major.

Podczas podobnych spotkań z zasady drzwi gabinetu zamykano na klucz wewnątrz – swego rodzaju psychologiczne podejście. Naczelnik przywitał mnie słowami: „Posłuchaj, kochany. Jesteś bardzo uparty i małomówny”.

Zrozumiałem, w jakim kierunku będzie rozmowa. Przez lata „kontaktów” z pracownikami organów bezpieczeństwa nauczyłem się i wiedziałem, że udowadniać cokolwiek w rozmowach z nimi nie ma konieczności. Będiesz mówić „białe”, powiedzą „czarne” i odwrotnie.

Mówił dalej: „Mamy materiał do tego, żeby skazali ciebie trzeci raz. Pamiętaj, gdzie siedziałeś? Lecz wybierzemy ci bardziej interesujące miejsce”. W takim duchu mówił przez jakiś czas. Wysłuchawszy go do końca, powiedziałem: „Oto ten człowiek, który jest obok was, przez cały czas udowadniał mi, że organy KGB dziś pracują współcześnie, nowymi metodami, nie tak jak za Stalina i że mogę znaleźć w nich najlepszych przyjaciół. Ale to, co teraz usłyszałem, jeszcze bardziej utwierdza mnie w moim przekonaniu o was. Wiem do czego jesteście zdolni. Cieszcycie się, kiedy wylewają się niewinne łzy. A straszenie mnie trzecim

wyrokiem z waszej strony – jest po prostu głupie. Dobrze wiem z mojej przeszłości, że posadzić mnie dla was – to jak dwa razy dwa. Możecie nawet podpisać fałszywe zeznania i tak zamotać sprawę, że nikt nie będzie mógł się w tym rozpoznać. To wasza sztuka – wasze doświadczenie. Wcale nie wątpię w wasze zdolności. Lecz dziś chcę wam twardo oświadczyć tylko jedno, jeżeli mój Ojciec Niebieski, któremu służę od czternastu lat, podpisze waszą decyzję, to – tak! Lecz jeżeli nie – nic mi nie zrobicie”.

Po krótkiej przerwie spojrzeli na siebie i szef powiedział: „No, co z nim dalej będziemy robić?”. Jeszcze przerwa, a naczelnik dosłownie w rozpaczy, mówi: „Wyjedź stąd dobrowolnie!”.

Odpowiedziałem: „Nigdzie nie wybieram się i nie pojadę. Moje miejsce jest tutaj. Jedyne dla was sposob – to za kratami w „wronkie” wywieźć mnie”.

Zamilkli, później naczelnik mówi: „Odwieźć ciebie do domu?”. „Nie” – odpowiedziałem – swoje nogi mam dobre, wasi pracownicy zahartowali mnie”.

Tak się rozstaliśmy. Na pożegnanie powiedziałem jeszcze im, że więcej w żadnym przypadku na ich wezwanie dobrowolnie nie przyjdę.

Epilog

Wkrótce po opisanych wydarzeniach nastąpiła „pieriostrojka”. Od tego momentu przestałem już widzieć dobrze mi znane twarze pracowników KGB. Czy na długo? Tylko Bóg to wie. Przecież chrześcijańska droga jest wąska i ciernista.

Pismo wzywa nas, żeby we wszystkim naśladować Chrystusa. „Wyjdźmy więc do niego poza obóz, znosząc pohańbienie jego. Albowiem nie mamy tu miasta trwałego, ale szukamy tego przyszłego” (Hbr.13:13-14). Architektem i budowniczym tej przyszłości jest nasz Wielki Bóg.

Dziękuję Panu za lekcje, które mi dał. To wychowanie pomogło mi w pracy pastorskiej.

W 1989 roku nas, sześciu braci, odpowiedzialnych za sprawę Bożą, zaprosili do Rady od spraw religii przy radzie ministrów miasta Moskwy w celu otwartej rozmowy. Jeden z członków Rady zadał takie pytanie: „Co według was konieczne trzeba zrobić, żeby zlikwidować przepaść między ateizmem i wiarą?”.

Pierwszy zacząłem odpowiadać na to pytanie: „Po pierwsze, musicie przyznać się do swojego błędu w przeprowadzaniu ateistycznej propagandy, która doprowadziła do negatywnych skutków w całym kraju. Odjęliście wiarę i tym samym daliście możliwość zakorzenienia się w ludziach egoizmu. Doprowadziło to do upadku moralnego społeczeństwa, politycznej niestabilności i upadku ekonomii. Po drugie, musicie publicznie powiadomić o tym obywateli kraju przez prasę, radio i telewizję. I po trzecie, dać nam możliwość, żebyśmy mogli przynieść całemu społeczeństwu podstawy nauki chrześcijańskiej”. Bracia poparli mnie w tym. A wkrótce potem wyszło nowe prawo o wyznaniach, jednak ta wolność przyszła nie dlatego, że odbyło się to pożyteczne spotkanie i był dialog z ważnymi osobami z rządu kraju, a dlatego, że przyszedł ten czas, który określił Bóg, gdyż przez Niego przechodzą wszystkie czasy i okresy.

Chrystus powiedział: „I będzie głoszona ta ewangelia o Królestwie po całym świecie na świadectwo wszystkim narodom i wtedy nadejdzie koniec” (Mt.24:14).

Lecz po co to wszystko?

Jaki jest sens życia? Czym jest śmierć i czym wieczność? Skąd przyszło życie?

Pismo mówi, że na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Stworzenie wszechświata i wszystkiego, co później napełniło go, zajęło sześć okresów czasowych. Cel stworzenia życia Bóg określił tak: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie się, i napełniajcie ziemię, i czyńcie ją sobie poddaną...” (1M.1:28). Bóg stworzył człowieka, żeby uprawiał ziemię i rządził nią. Bóg przeznaczył ogród Eden na miejsce, w którym miał mieszkać człowiek, w dolinie rzeki Eufrat (międzyrzecze Tygrysa i Eufratu).

Archeologiczne wykopaliska potwierdzają, że właśnie to miejsce było centrum narodzenia całej ludzkości.

Bóg nakazał człowiekowi: „Z każdego drzewa tego ogrodu możesz jeść, ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy tylko zjesz z niego, na pewno umrzesz” (1M.2:16-17).

Pierwotnie Bóg obdarzył człowieka wolną wolą. I do tej pory człowiek musi sam podejmować swój własny wybór.